



Zeszyty TŁUMACKIE



IV KWARTAŁ 1999

ISSN: 1426-4129

Nr 4(16)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław



Spis treści

OPLATEK – wiersz – Jan Johnson	1
Święta Noc – wiersz – Kate Walter	1
I Opowiadania na Boże Narodzenie	
Szopka w Tłumaczu – Danuta Tabińska-Juhasz	1
O kołędach i zwyczajach wokół Bożego Narodzenia – Antoni Siewiński	2
Pierniczki na dzień Św. Mikołaja – K. Szankowska	3
Ruskie Święta Bożego Narodzenia czyli Koleda w Tłumaczu w 1998 r. – K. Szankowska	4
Szczęście Boże młodej parze – Edward Śniechowski (Anglia)	4
II Historia	
Tysmienica – miasto na rubieży Rzeczypospolitej (c.d.) – Tadeusz Pelikan	6
Dąb – wiersz – Stanisław Pelikan	
III Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym	
Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.). Ulica Piłsudskiego – Ks. Lesław Jeżowski	7
IV Tłumacz w latach wojennych 1939-1945	
Pamiętnik J. A. Jakubowicza (c.d.)	9
Pod Monte Cassino (2) – Stanisław Kochański	11
V W cieniu białych nocy i czarnych dni	
Wspomnienia spisane... (c.d.) – Janina Kochańska-Reich	12
VI Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży	
Opust w Niżniowie – Ks. Lesław Jeżowski	15
VI Wiadomości z życia tłumaczan	
Przeżyjmy to jeszcze raz (c.d.). Spotkania i zjazdy Tłumaczan 1945 – 1995. 2-10.VIII.1991 – Tłumacz – Janina Petrus-Duszyńska	18
Sagi rodzinne – Helena Bilińska, Danuta Tabińska-Juhasz	22
VII Informacje	
Sześćdziesiąta rocznica	25
Informacje	25
Uzupełnienia – Jerzy Czyżycki	25
Lista Ofiarodawców w IV kwartale 1999	25
Errata	25

Redaguje zespół w składzie:

Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta

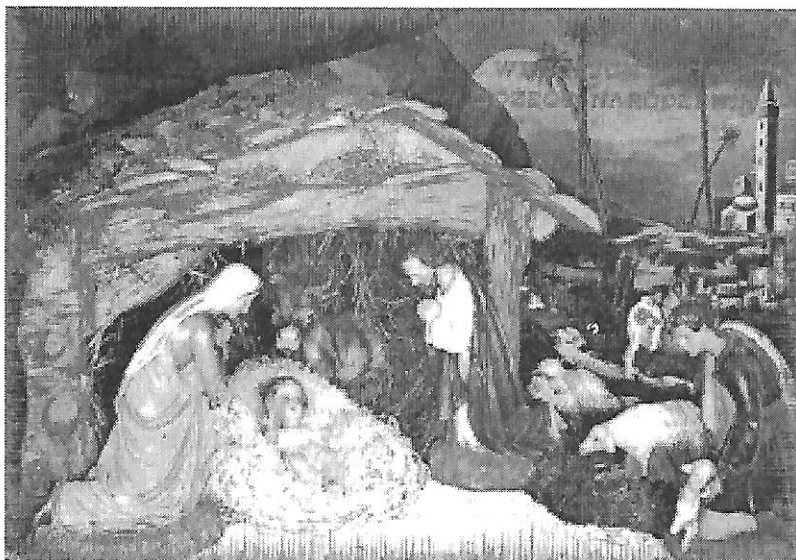
Redakcja techniczna:

Franciszek Borkowski

Adres Redakcji:

TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław,
ul. Rуска 32/33, I p. Tel. 071/344-88-93.
Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki.
W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów
oraz poprawek stylistyczno-językowych.



*Składamy najlepsze Życzenia
Świąteczne i Noworoczne Drogim
Czytelnikom, Kresowianom i całej
Rodzinie Tłumaczan.*

*Oby w 2000 Roku ziszczyły się
wszystkie Wasze Życzenia, a do-
brobyt i radość gościły w domach
Waszych!*

*Redakcja Zeszytów Tłumackich
Zarząd Ogólnopolskiego Oddz.
Tłumaczan*

OPLATEK

Jan Johnson

*Dzielę się Oplatkiem z Wami Tłumaczanie,
Który wyrósł z Chrystusowej Roli,
Niech On nas złączy i pomostem stanie,
Bo powstał z tego co cieszy nas i boli.*

*Serca nasze niech zgodnie w piersi biją,
Myśli i czyny, niech zawsze będą nam jedne,
Ojczyznę i Kresami Tłumaczanie żyją,
Choć One dziś dalekie i takie są biedne.*

*Każdemu dziś z osobna, jak i wszystkim razem,
Składam swe życzenia – zdrowia w Nowym Roku
Wspomnienia złączone barwnym krajobrazem
Zaklęte zostały na zawsze w moim oku.*

Święta Noc

Kate Walter

*Kiedy w cichą, świętą noc
milczą głosy ziemi,
nasze serca kłaniają się Dziecku,
które nas błogosławi.*

*Stańmy dziś cichutko przy szopce
i pozwólmy, aby nasze serca przeniknęły żar,
tylko miłość, która nie żąda nic dla siebie
może pomóc nam się podnieść!*

Opowiadania na Boże Narodzenie

Szopka w Tłumaczu

Danuta Tabińska-Juhasz

W kościele tłumackim pod wezwaniem Św. Anny szopka bożonarodzeniowa była zawsze urządzana w prawej nawie na bocznym ołtarzu M. B. Częstochowskiej. Prawdopodobnie figurki z szopki były bardzo stare, gdyż wg. wspomnień ks. Czesława Tuzinkiewicza, zastał je już ks. Edward Tabaczkowski obejmujący w 1910 roku parafię w Tłumaczu. Objął ją po krótko urzędującym ks. Bronisławie Skuliczu, zasłużonym ks. Ferdynandzie Majewskim i sławnym ks. Franciszku Sawie (autor 2 książek: „Duma Sawy” i „Polskie dzieje i nadzieje” – patrz art. ks. L. Jeżowskiego ZT Nr 3 (15) 99 str. 6)

Nie wiemy, któremu z tych trzech księży zawdzięczamy szopkę tłumacką, zdobiącą corocznie nasz kościół aż do 1945 roku. Na każde święta Bożego Narodzenia, oprócz

szopki, kościół był przystrajany pachnącymi jodłami znad Dniestru. Ks. Cz. Tuzinkiewicz przypominał też o figurce aniołka, który stał przed szopką z tacą i kiwał główką dziękując za wrzucone grosiki. Aniołka pamiętamy i wiemy, że był bardzo lubiany przez tłumackie dzieci.

Jaki los spotkał stare figurki z szopki dowiedzieliśmy się dopiero w roku 1991 gdy autokarowa wycieczka byłych mieszkańców odwiedziła po latach Tłumacz. Kilka figurek z szopki przynieśli nam do hotelu dwaj młodzi Ukraińcy. Opowiedzieli, że ich nieżyjący już rodzice uratowali figurki z burzonego polskiego kościoła i przekazali żeby kiedyś oddać je Polakom. Dwadzieścia lat przeleżały one u nich na strychu. Wzruszeni podziękowaliśmy im serdecznie za ten bardzo ładny gest a figurki oddaliśmy ks. Halimurce proboszczowi parafii Chrystusa Króla na Górze w Stanisławowie. Przy najbliższej tam bytności musimy się dowiedzieć jaki był dalszy los figurek z tłumackiej szopki. □

O kolędach i zwyczajach wokół Bożego Narodzenia

Antoni Siewiński

Prezentujemy drugą część artykułu pt. „O Franciszku Karpińskim i jego poezji” Część pierwsza publikowana była w „ZT” Nr 1 (13) 1999 str. 3.



Franciszek Karpiński

Któż z nas nie ma własnych wspomnień śpiewania kolęd. Zaczę trochę niepoważnie. Był zimowy wieczór zeszłego roku we Wrocławiu w okolicach Placu Grunwaldzkiego. Odprowadzałem moją wnuczkę do domu ze szkoły imienia Marii Skłodowskiej-Curie, gdzie dziewczynki i chłopcy uczyli się polskich tańców.

Dziadziuś, pyta Iwonka, umiesz tańczyć poloneza?

– Oczywiście, jakby to było, aby dziadek tego nie umiał! Padał śnieg, świeciły się latarnie, studenci wracali z wykładów do domów.

Ująłem rączkę wnuczki i pokazałem na śniegu kroki poloneza. Trzeba było coś zanucić. Nic innego nie przyszło mi do głowy jak:

„Bóg się rodzi, Moc truchleje, Pan niebiosów obnaży...”

Przecież to najbardziej rytmiczny polonez ze znanych dawniej, jak mówiono o nich „chodzony”.

Aby zacząć poważnie, to sięgnę do Aleksandra Brücknera z Berlina i jego Encyklopedii Staropolskiej.

Rzymskie Calendae, pisze Bruckner, oznaczały pierwszy dzień miesiąca, a styczniowe kalendy były obchodzone szumnie, odwiedzano się, życzo „do siego roku”, dawano podarunki.

Za czasów chrześcijańskich pierwotnie przesunięto noworoczne kalendy na Trzech Króli – na szóstej stycznia – chrzest Rusi. Potem Boże Narodzenie stało się początkiem roku – dwudziestego czwartego grudnia, noc wigilijna. Obie te daty przypominają dwa kalendarze: juliański i gregoriański (od imion papieży, którzy tę miarę czasu wprowadzili), był to czas liczony na wschodzie i na zachodzie Europy.

Echo tych dat widać w ustanowionym przez Jana Pawła II Roku Świętym – Dwutysięcznym. Zaczyna się on w Noc Wigilijną 1999 roku i trwa do Trzech Króli 2001 roku. Rodzi się tu osobny temat ekumenizmu, lecz zostawmy go do osobnego rozważania, bo mamy mówić o kolędach i o dziejach jednej z nich.

Na dobrą sprawę to pierwsze kolędowanie połączone z szopką sięga średniowiecza i czasów Świętego Franciszka z Asyżu. Najpierw ten zwyczaj miał coś ze świętowania ludowego.

Równolegle powstał i drugi zwyczaj: duszpasterskich odwiedzin parafian przez swego proboszcza. Udzielał on wówczas swego błogosławieństwa domowi, a parafianie składali ofiary na rzecz parafii. Obserwujemy ten zwyczaj

do dzisiaj jako bardzo potrzebny kontakt proboszcza ze swymi parafianami.

„O Narodzeniu Pańskim” była jedną z „Pieśni Nabożnych” napisana przez Franciszka Karpińskiego do przygotowanego zbioru gdzieś w roku 1792 – po drugim rozbiórce Polski. Ta ważna chwila dziejowa odbita jest dramatycznie w słowach kolędy.

Niezwykle szybko i zdumiewająco serdecznie przyjęta została przez naród, a zwłaszcza – jak określano – przez społeczeństwo, do którego trafić, to znaczy zyskać popularność.

Nie przypuszczał autor, że „O Narodzeniu Pańskim” stanie się z czasem pieśnią narodową obok Bogurodzicy, Mazurka Dąbrowskiego i Boże coś Polskę.

Jej pierwsza zwrotka:

„Bóg się rodzi – moc truchleje,
Pan niebiosów – obnaży;
Ogień krzepnie – blask ciemnieje,
Ma granice – nieskończony.
Wzgardzony – okryty chwałą,
Śmiertelny – król nad wiekami,
A słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.”

Wprowadzony przez poetę kontrast logiczny, kontrast obrazu powoduje malowniczość i wyrazistość scenerii dla śpiewających ją i słuchających. Z biegiem lat nabrała imienia „Królowej kolęd polskich”. Ma rytm poważnego tańca narodowego – poloneza.

Jej ostatnia strofa nasycona jest elementami narodowymi i religijnymi – którą to strofę powinno śpiewać się na baczność:

„Podnieś rączkę, Boże Dziecię!
Błogosław ojczyznę miłą.
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę swą siłą.”

Losy kolędy „O Narodzeniu Pańskim” w naszej historii

Jest Pasterka w 1939 roku w Bochni, są okupanci niemieccy. Jesteśmy – uczniowie zamkniętych polskich szkół – w kościele i śpiewamy „Bóg się rodzi”, a potem „Błogosław ojczyznę miłą”. Dotarła do nas świadomość, że straciliśmy niepodległą ojczyznę. Ten śpiew nabrał mocy, poculiśmy się Polakami, nie poddamy się. Po latach jestem świadomy, ile siły tkwi w tych prostych słowach wypowiedzianych dwieście lat temu przez polskiego poetę, który wtedy też przeżywał upadek ojczyzny.

Za tydzień po tej pasterce ksiądz z ambony upominał nas – bez wewnętrznego przekonania – że z rozkazu władz niemieckich wolno nam śpiewać: „Błogosław krainę miłą” tylko!.

W czasie zaborów, okupacji niemieckiej i sowieckiej kolędy pełniły rolę więzi narodowej, podtrzymywały ducha polskiego. Działo się to nie tylko przy śpiewaniu kolęd znanych od lat pokoleniom Polaków, ale i wtedy, gdy śpiewano kolędy o zmienionej treści dostosowanej do chwili, w której znalazł się naród.

Spośród nich można wybrać te, które wiążą się z konkretnymi wydarzeniami w kraju. Na przestrzeni lat 1830 do

stanu wojennego w grudniu 1981 roku. Wśród tych kolęd bardzo często dobierano nowe słowa do „Bóg się rodzi”.

Oto fragmenty takich nowych treści:

W 1830 roku, gdy powstańcy listopadowi świętowali Boże Narodzenie w grudniu tegoż roku to i śpiewali w warszawskich kościołach:

„... Z miłym dziś wolności znakiem,
Błagamy u Twego tronu,
By Polak był znów Polakiem
Od kolebki aż do zgonu...”

Autor nieznany (1830)

W czasie Wiosny Ludów w 1848 roku tak pisał Ehrenberg w kolędzie:

„... We krwi ludów tyran brodzi.
Opiekuńcze widzisz duchy?
Już piękniejsze słońce wschodzi,
Wnet opadną z nóg łańcuchy.”

W czasie I Wojny Światowej poetka Stanisława Korczak ułożyła na Wigilię w 1915 roku kolędę:

„Bóg się rodzi, moc truchleje
I nam, Boże, daj nadzieję,
Że opadnie z nas niewola,
Że wrócimy na swe pola.
I piastowe wzniesiem chaty
I znów będziemy, jak przed laty,
Pasać krówki na ugorze
I na polu siewać zboże
I żyć znowu jak w rodzinie,
W naszej wiosce w naszej gminie.”

Po odzyskaniu niepodległości w listopadzie 1918 roku radość Polaków objawiła się w kolędach. Tak o tym pisał ksiądz J. R. w Płocku w rytmie tego samego poloneza:

„Święta, Święta już nadchodzą,
Narodziny Zbawiciela,
Myśli błogie w nas się rodzą,
Jakie wolność nam udziela!

Polska, Polska od Karpatów
Aż do Morza Bałtyckiego
Przygarnia dawnych Sarmatów
Do polskiego serca swego...”

A w okresie ostatniej nocy wojennej w roku 1943 w Warszawie tak śpiewał nieznany poeta:

„Podnieś rękę Boże Dziecię,
Błogostaw krainę miłą –
Z gwiazdą w dłoniach anioł leci
I srebrzystym sieje pyłem
Melodyjnym zawołaniem
Opowiada nam nowinę,
Że się Polska ciałem stanie
A pragnienie wielkim czynem
Nie żałujmy krwi przelanej,
Skoro plonem jej wawrzyny!
Niech się Polska ciałem stanie
A pragnienie wielkim czynem...”

Polonez Karpińskiego zmieniony słowami śpiewano w czasie stanu wojennego w więzieniu w Wiśniczu na Wigilię 1981 roku:

„Pociesz Jezu kraj ojczysty,
Zasiej w sercach prawdy ziarno,
Siłę swoją daj walczącym,
Pobłogosław „Solidarność”
Więźniom wszystkim daj wytrwanie,
Pieczę miej nad rodzinami
A słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami.”

(napisał Andrzej Borzęcki)

Dzieje tej kolędy narodowej zasługują na pamięć Polaków. Dlatego należy je rozpowszechniać wśród młodego pokolenia, które, co jest rzeczą naturalną, zna naszą historię z podręczników, pisanych coraz rzetelniej. To, co opowiedziałem o kolędzie-polonezie stanowi może i margines historii, lecz nadaje jej rumieńców. □

Pierniczki na dzień Św. Mikołaja

K. Szankowska

6-tego grudnia w zimowy świt
dzieci się budzą – cichutko, cyt!
W zimowy świt grudniowy
o spaniu nie ma już mowy
Choć w ciepłych łóżeczkach
i syn i córeczka
A jakaż jest tego przyczyna?

Otóż w pokoju dziecinnym unosi się jedyna w swoim rodzaju woń: zapach pierniczek od... Św. Mikołaja. Wykonawczynią ich była Babcia Maria Szankowska z Tłumacza, o czym naturalnie nie wiedzieliśmy.

Babcia pochodziła z Moraw – tam wykonuje się misterne ciasteczka na różne okazje – pięknie ozdabiane.

Rokrocznie Kochana Babcia wyczarowywała prześliczne lukrowane kolorowe figurki pachnące korzeniami i miętą, bo lukier seledynowy był miętowy.

Wśród rozmaitości laleczek, gwiazdek i rybek królował duży piernikowy Św. Mikołaj z dobrotliwym uśmiechem na

brodątej twarzy (z glansowanego papieru) – ozdobiony też lukrem.

Wczesnym rankiem wciągaliśmy noskami ten wspaniały zapach – dowód, że już był u nas Św. Mokołaj. Choć mówiono, że może nie przyjdzie, bo jesteśmy niegrzeczni.

Ale koło dziecięcych łóżeczek pojawiały się duże talerze pełne pachnących pierników. Prócz tego jakieś ciepłe rękawiczki, czy skarpetki wyszydełkowane przez Babcię własnoręcznie.

Jest to jedno z niewielu wspomnień, które mi pozostało z wczesnego dzieciństwa, resztę „wyssała” wojna, odeszły w niepamięć.

A pierniczki? Przejęłam tę tradycję, nauczyłam się sama je piec i ozdobiłam je dla mojej Córki, zawsze przypominając ich historię.

Ode mnie nauczyła się je robić moja córka Basia, a od niej jej koleżanki zachwycone tym zwyczajem.

I nadal, gdy czas pozwala, w początkach grudnia zdobimy kolorowym lukrem, orzechami i rodzynkami pierniczki, tak jak kiedyś robiła to Babcia z Tłumacza... □

Święta Bożego Narodzenia czyli Koledà w Tłumaczu 3 r.

K. Szankowska

Moją letnią trzecią wyprawę do Tłumacza w ubiegłym roku zrealizowałam odrywając się od pielgrzymki brzeżańskiej. Pojechałam miejscowym autobusem z przesiadką w Stanisławowie – łącznie ok. 100 km. Dojechałam zdrowo i cało. W Tłumaczu poznałam obecnych mieszkańców domu moich dziadków Szankowskich, którzy gościli mnie u siebie i zaprosili na Święta Bożego Narodzenia (nasz dzień Trzech Króli).

Tok życiowych zdarzeń sprawił, że postanowiłam skorzystać z tego zaproszenia. Dodam, że na nasze święta telefonowano do mnie z Tłumacza z życzeniami.

Wyjechałam z Gliwic w przeddzień pociągiem pośpiesznym, rzekomo bezpośrednim do Stanisławowa, ale w trakcie podróży okazało się, że mam przesiadkę w Przemyślu. Błędym świtem „wylądowałam” w Stanisławowie. Czekałam w poczekalni dworcowej oglądając „folklor”. Nadeszło rano, ale miasto nadal było uśpione. Przed dworzec zajeżdżały nieliczne samochody. Autobusy i trolejbusy stały nieruchome. To nie był strajk – to był normalny dzień pracy.

Jakże inne wrażenie z terenu przydworcowego niż u nas. Brak ludzi dojeżdżających do pracy, której tam prawie nie ma lub w ogóle śpieszących gdziekolwiek.

Nie miałam hrywien – nie mogłam więc zatelefonować do Tłumacza, że już jestem – zresztą gdzie szukać telefonu w tym uśpionym budynku dworcowym. Żadnych pociągów nie było przez cały czas i wszystko zamknięte. W końcu za dolara dojechałam autobusem do Tłumacza.

Radość powitania. Gospodarze zadowoleni, dzieci uszczęśliwione. Pani domu, Anna, kontynuowała przygotowania do wigilijnej kolacji. W pokoju stała choinka – srebrny świerk, ubrana skromnie przez dzieci tym co miały. Położyłam pod nią przywiezione prezenty w pięknych kolorowych opakowaniach. Były to jedyne upominki gwiazdkowe pod drzewkiem i dzieci orzekły, że jeszcze nie miały takich Świąt.

Kolacja wigilijna zaczęła się ok. godz. 16.30 cichą modlitwą. Na początku każdy z nas zjadł trzy łyżki rzadkiej kutii „na szczęście”.

Wszystko od razu postawiono na stół – nie za wiele tego: ziemniaki z cebulą smażoną na oleju, śledź w zalewie octowej, pokrojony z ościami, pierogi z kapustą, rzadka zupa grzybowa zaprawiona

mąką, trochę ryby smażonej i nieco alkoholu. Ponieważ obowiązuje surowy post („jak pist to pist”) nie używa się śmietany, ani mleka czy jaj. Skosztowałam po trosze wszystkiego i niebawem wyjeżdżaliśmy do rodziców moich gospodarzy do Obertyna. Tam powtórzyło się to samo menu i powrót do Tłumacza.

Miasto ciemne, bez świateł w oknach, szczególnie w dużych blokach, których mieszkańcy pochodzący ze wsi powyjeżdżali do rodzin. Żadnych światełek świątecznych w wystawach sklepów lub na ulicach. Jedyna choinka postawiona koło domu kultury ubrana była kolorowym „szklanym” papierem – to wszystko.

W pierwszy dzień koledy pojechaliśmy znów do Obertyna. W cerkwi odbyła się uroczysta msza, a ludzie po drodze pozdrawiali się słowami: „Chrystos roždżajetsia – sławymy joho”, oraz śpiewali koledy pod domem popa. Gopsodarze częstowali nas domową wędliną (boczek i kiełbasa), do tego podano buraczki z czosnkiem i ogórki kiszzone. Były też gołąbki w liściach kiszzonej kapusty i galareta z nóżek, dla chętnych pierogi i kapusta zasmażana. Domowa bułka, skromne ciasto drożdżowe i placek z marmoladą i kakao. Za to koledy moc. Pięknie tam ludzie śpiewają i są muzycyjni. Atrakcją była grupa młodych trochę przystrojonych w skórzane serdaki, chyba z lepszych czasów i kilku przebierańców. Huknęła koleda, a po niej następna – dostali „hroszi” i poszli dalej do sąsiadów. Nie darmo Święta Bożego Narodzenia nazywają „Koledà” z akcentem na „a”.

Ukraińcy mają tylko 1 dzień Świąt, drugiego dnia już „pracują”.

W tej sytuacji odwiedziłam szkołę z internatem, w którym nie było dzieci, gdyż wyjechały do domów, a sieroty do Worochty. Zostaliśmy z moimi gospodarzami ugoszczeni i napojeni przez dyrektora internatu. Przyszli tu też miejscowi notable, uzupełniając menu. A potem to 9-osobowe gremium śpiewało znów koledy, bardzo melodyjne. Znam tylko jedną: „Boh predwicznyj...”. Jedną koledę mamy wspólną: „Dzisiaj w Betlejem” – te same słowa, tylko po rusku i ta sama melodia.

Następnie śpiewano liczne dumki – był to zaimprovizowany 2-godzinny koncert.

Roześmiane twarze, pogodny nastrój. Gdyby tak częściej wyglądały kontakty polsko-ukraińskie. Żyłoby się lepiej po obu stronach wspólnej granicy. □

Szczęść Boże młodej parze

Edward Śniechowski (Anglia)

Przypominam sobie jak tuż przed wybuchem wojny, w latach 1937-39 w Państwowym Gimnazjum, którego byłem uczniem, do nauki języka polskiego używaliśmy podręcznika „Mówią wieki”, autorstwa – jak dobrze pamiętam – Juliusza Balickiego i Stanisława (Maykowskiego). Cóż to za wspaniały podręcznik! To nie tylko język polski, ale równocześnie historia, poezja i literatura polska. Książka ta wychowywała nas, młodych ludzi, na dobrych Polaków, wpajała patriotyzm i umiłowanie Ojczyzny.

Gimnazjum do którego chodziłem znajdowało się w Tłumaczu, małym miasteczku powiatowym na Pokuciu na południowo-wschodnich krańcach Polski (obecnie Ukraina). Opiekunem naszej klasy i zarazem nauczycielem języka polskiego był prof. Marian Mierzwiński, kochany przez nas wszystkich. Na jego lekcjach panowała zawsze idealna cisza. My, słuchając jego wykładów o bohaterach na-

rodowych, zwycięskich bitwach naszych rycerzy, broniących przez wieki granic Rzeczypospolitej Polskiej, siedzieliśmy jak w hipnozie, polykając każde słowo, a prof. Mierzwiński donośnym głosem recytował:

HYMN DO MIŁOŚCI OJCZYZNY

Ignacego Krasińskiego

*Święta miłości Kochanej Ojczyzny!
Czują cię tylko umysły pocziwe,
Dla ciebie zjadł smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe,
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe,
Byle cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać!*

Czy to nie pięknie?! Nic dziwnego, że byliśmy zauroczeni, a strofy te pozostały w naszej pamięci aż do dnia dzisiejszego i powtarzane są na akademiach przez Polaków w różnych częściach świata.



Telegram ślubny z 1919 r.



Telegram ślubny z 1930 r.

Ale co to wszystko ma wspólnego z Młodą Parą wymienioną w tytule? Przysięgam, że się to wszystko wyjaśni. Proszę jeszcze o trochę cierpliwości.

U nas w domu, w naszej sypialni, znajduje się duża, z XVIII w. drewniana, pięknie rzeźbiona skrzynia, którą kupiliśmy już dość dawno, w jakimś sklepie ze starociami. Otóż skrzynię tę nazwałem tak samo, jak ten podręcznik języka polskiego – „Mówią wieki”. Bo czego tam w niej nie ma! Różnego rodzaju pamiątki i poloniki, gromadzone pieczołowicie przez lata, przewożone z naszych wojaży po świecie.

To nie tylko wieki mówią, one wyglądają z każdego jej kąta.

Kiedy czasami ogarnia człowieka handra, a tęsknota za ojczyzną się wzmacnia, najlepszym lekarstwem jest otworzyć wieko skrzyni i zanurzyć się w jej głębie. Co chwila natrafia się na coś nowego, jak drzeworyt „Ofiarowanie Pana Jezusa w świątyni”, druk krakowski z XVI wieku (odbity nieco później z XVI-wiecznego klocka), albo międzyoryt z XVII wieku, portret króla Władysława IV Wazy według portretu Rubensa – artysta grafik Paulus Pontius. Tu znowu zaglądamy rozchukane rumaki, jak gdyby się chciały uwolnić z ram – to szkic do „Odysei” Jacka Malczewskiego, ze zbiorów Marii Malczewskiej. Każdy druk, mapa czy obraz ma ze sobą związaną jakąś historię.

Weźmy np. 92 portrety sławnych Polaków, zawarte w litografowanym albumie, wydanym na emigracji przez Józefa Straszewicza, byłego oficera armii polskiej, opublikowany w Paryżu w latach 1832-37, ten album z naszej kolekcji, to trochę późniejsza edycja w języku włoskim. Dostała się w nasze ręce dosyć ciekawie.

Otóż będąc kilka lat temu we Florencji, zahaczyłem o jeden z licznych antykwariatów i oglądając różne książki i druki, zapytałem właściciela sklepu, czy ma coś polskiego.

– Wie pan to dziwne, że akurat dzisiaj o to pan pyta – powiedział sprzedawca. Kilka dni temu przyszła do mojego sklepu sympatyczna staruszka, cała ubrana na czarno, z laseczką i z plastikowej torby trzęsącymi rękami wyciągnęła album z dużą liczbą portretów, w większości w mundurach wojskowych i o bardzo trudnych do wymówienia nazwiskach, takich jak Lelewel, Plater, Skrzynecki, Dwernicki itd. To zdaje się Polacy. „Czy pan to kupi?” – pyta nieśmiało staruszka. Co ja z tym zrobię – odpowiadam. Na to nie znajduję amatora.” Żal mi się jednak jej zrobiło i kupiłem. A teraz pan przychodzi i jest tym zainteresowany. Pan mnie wyratował!

– Musimy jeden drugiemu pomagać, to nasz chrześcijański obowiązek – odpowiedziałem i zadowolony wyszedłem z antykwariatu z albumem pod pachą. Szkoda, że nie miałem okazji spotkać tej staruszki. Może to jakiś potomek któregoś z powstańców listopadowych uwidocznił na jednym z portretów? Może ten album, to jej ostatnia po nim pamiątka. To wszystko jak gdyby żywcem wzięte z rysunku Grottera.

Dobrze tym bohaterom Wielkiej Emigracji u nas. Zagospodarowali się w naszej skrzyni i tylko wychodzą na światło dzienne na narodowe święta, aby je zaszczyścić swoją obecnością.

I tak można by oglądać te pamiątki bez końca, gdyby od czasu do czasu nie odezwał się głos, gdzieś z okolic kuchni:

– Gdzie ty jesteś, mógłbyś mi trochę pomóc. Na pewno znowu grzebiez w tej skrzyni.

Żegnaj się z moimi bohaterami, zamykam wieko i wracam do rzeczywistości.

Kilka dni temu, znowu grzebiąc (jak to mówi Żona) w moich „skarbach”, znalazłem coś, co nie było ani jakimś drogocennym sztychem, czy obrazem, ale coś, co dało mi dużo do myślenia. Otóż dwa przedwojenne ślubne telegramy gratulacyjne. Na jednym z nich, w pięknych kolorach, w medalionie wizerunek Tadeusza Kościuszki z białą-czerwonymi szarfami z jednej strony i Orłem Białym z drugiej – znakiem Pogoni. Pod spodem napis:

Szczęść Boże Młodej Parze,
Ostrzeszów, dnia 18 lutego 1919,
Dezyderyusz Janusz Osiński

Zaciekawiła mnie data. 1919. Polska dopiero co zrywa kajdany niewoli, a na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej Legiony Piłsudskiego i Błękitna Armia Hallera wyrabują jeszcze granice naszego Państwa, a tu ktoś wpada na genialny pomysł, aby już uczyć historię Polski i przygotowywać młode pokolenie do pracy w nowopowstałej Ojczyźnie.

Na innym telegramie też postaci z naszej przeszłości – poczet królów polskich Matejki.

Pomyślałem sobie, że dobrze by było, aby wznowić podobne telegramy w obecnej Polsce, aby młodzi ludzie mieli okazję zapoznać się z prawdziwą historią naszego Narodu.

Już widzę na jednym z telegramów, w medalionie sylwetkę znanego na cały świat elektryka z Gdańskiej Stoczni, otoczonego chorągwiemi z napisem „Solidarność”, a pod spodem napis:

Matki, żony w mrocznych izbach,
Wyszywały na sztandarach,
Hasło Honor i Ojczyzna,
I ruszyła wiara w pole,
Od Chicago do Tobolska,
Żeby Polska, żeby Polska,
Żeby Polska była Polską.

P. S. – Prof. Mierzwinski, mój opiekun z gimnazjum, musiał chyba też mieć taką jak ja skrzynię, bo skąd czerpał te wszystkie wiadomości, które z kolei przekazywał nam, smarkaczom w mundurkach gimnazjalnych.

Kto książkę miłuje, ten żyje szczęśliwy... □

Historia

Tyśmienica – miasto na rubieży Rzeczypospolitej (c.d.)

Tadeusz Pelikan



Tyśmienica – Rynek

Zaczął się ponowne panowanie władzy sowieckiej.

Tak jak w innych miejscowościach również w Tyśmienicy powstaje oddział specjalny (istriebitielny batalion), który przystępuje do zwalczania banderowców. Do oddziału wstępują ochotniczo Polacy, m.in. Zbigniew Głogowski, Józef Sapa oraz bracia Franciszek i Jan Baczyńscy. Działalność batalionu przynosi rezultaty. Między innymi przy ulicy Pszenicznikowskiej odkryto schron, w którym ukrywało się trzech banderowców. W czasie likwidacji kryjówek wszyscy trzej zginęli. W jednej z akcji ginie Jan Baczyński, żołnierz „istriebitielnego batalionu”.

Mimo tych przedsięwzięć w nocy 6 grudnia 1944 r. znaczna grupa banderowców zaatakowała siedzibę milicji, usiłując uwolnić przetrzymywanych tam banderowców. Wybuchy granatów, serie z broni maszynowej przerwały nocną ciszę. W tym czasie inna grupa dokonuje napadu na dom Pochroni zamieszkałych przy ulicy Kolejowej, wiodącej ze stacji do miasta. Po wybuchu granatu wrzuconego do mieszkania Maria Pochroń wraz z córkami Janiną i Czesławą oraz ojcem Józefem Dulianem próbują ucieczki. Ranieni odłamkami granatu ukrywają się wśród budynków gospodarczych. Janina i Czesława usiłują przedostać się na drugą stronę ulicy. Seria pocisków trafia Czesławę w głowę. Ukrywająca się tej nocy w ich domu Dominika Zborowska ucieka do sąsiedniego ogrodu. Ale tam seria z automatu przeszywa jej brzuch. Dom płonął. Obrońcy budynku milicyjnego nie ulegli. Z pomocą przybywa im ze Stanisławowa grupa żołnierzy radzieckich wspierana czołgiem. Banderowcy wycofują się.

Likwidacja ugrupowań UPA trwała jeszcze długo. Wielu schwytanych banderowców zostaje często wraz z rodzinami wywiezionych w głąb Rosji.

W drugiej połowie 1945 roku ludność polska opuszcza Tyśmienicę udając się transportami kolejowymi ze Stanisławowa na Ziemię Zachodnią. Ciężkie okresy w dziejach Tyśmienicy nie należały do rzadkości, nigdy jednak nie dochodziło do takiej sytuacji politycznej, która by zmuszała Polaków do opuszczenia ziemi, z której wyrosli. Jeżeli do wspo-

mnianych tu wydarzeń, ludzkich losów dodać uczucie goryczy, jakie towarzyszy porzucaniu rodzinnego domu, ziemi zroszonej potem ojców, dziadów i pradziadów, zarysuje się ów dramat, jakiego przyszło doświadczyć ludności polskiej tych ziem.

Tak zakończył się jeszcze jeden rozdział dziejów Tyśmienicy, miasta na rubieżach Rzeczypospolitej, z którą była związana przez długie stulecia. Dziś już tylko na starym cmentarzu pochylone krzyże i kamienie nagrobne świadczą o pokoleniach tych, którzy na tej ziemi się urodzili, na niej pracowali i umierali.

EPILOG

Tyśmienicę odwiedziłem w 1975 roku. Było to głębokie przeżycie. Odnajdywanie dawnych śladów dostarczało wielu wrażeń.

Oto dom rodzinny przy ulicy Kolejowej, tu się urodziłem, tu przeżyłem kilkanaście lat. Sprawia wrażenie, jakby był opuszczony, a przecież zamieszkuje go rodzina Łemków przesiedlona tu z terenów Polski. Po drugiej stronie ulicy nie ma już kuźni dziadka. Obok tego placu stoi dom, ale to już nie dom dziadka, tamten spalili banderowcy w 1944 r.

Nie ma budynku stacji kolejowej, jest tam teraz ośrodek maszynowy i stacja benzynowa. A tam gdzie biegły tory kolejowe teraz prowadzi droga, wprost do rzeki Strymby. Pamiętam tę rzekę jako znacznie szerszą... Na jej prawym brzegu szereg nowych budynków.

Idę drogą na sam skraj Tyśmienicy, na Horodyszcze. Po lewej stronie – „tłoka”, obszerne pastwisko, a w głębi ten sam co dawniej widok, wzgórza pokryte drzewami, spośród których wyglądają dachy domów, a nad nimi góruje srebrzysta kopuła cerkwi. To Pszeniczniki i Pohonia. Na Horodyszczu ogromne zaskoczenie: było to wzgórze pokryte wysokimi, starymi drzewami, stąd początek wzięło miasto. Teraz świeci pustką. W związku z budową gazociągu wszystkie drzewa zostały wycięte.

Po kościele św. Mikołaja pozostał tylko budynek klasztoru, mieści się w nim poliklinika. W byłym Domu Ludowym znajduje się kino, a obok bloki mieszkalne. Zniknął dawny rynek, na jego miejscu powstał duży plac. Imponuje potężnie rozbudowana fabryka wyrobów futrzarskich zatrudniająca ponad dwa tysiące pracowników.

Leżący na skraju miasta cmentarz jakby zapomniany, wśród zarośli giną krzyże i nagrobki. Nie udaje mi się odnaleźć grobu wujka i kuzynki zabitej przez banderowców. Napotkany tu grabarz prowadzi mnie do kamiennego krzyża i pyta, czy znam ten krzyż. Nie, nie pamiętam... Wyjaśnia, że jest to krzyż sprzed kościoła. Oczywiście, przypominam sobie kamienny krzyż w kolorze jasnego brązu, z wykutymi

w nim złożonymi literami. Przecieram dolną część krzyża, ukazuje się polski napis:

*Bądź pozdrowiony
krzyżu Święty
jedyna nadziejo nasza
na pamiątkę 1900-go
Świętego Jubileuszu
Odkupienia świata
oraz świętych misji
odbytych w czerwcu 1935 r.*

Dąb

Bratu Tadeuszowi

Stanisław Pelikan

*Spójrz na ten dąb rozłożysty
Co wyrósł w naszym ogrodzie,
W koronie jego zielonej
Złociste słońce zachodzi.*

*Rozpostarł swoje ramiona
I szumi, duma i gwarzy.
O tym co już przeminęło
Co nigdy już się nie zdarzy.*

*Wspomina lata upalne,
Zimy śniegami owiane,
Minione dzieje żywota
W słojach konaru spisane.*

*I swoich giermków żółdnych
Rozsyła na wszystkie strony,
Ażeby głosili wszędzie,
Że rośnie tu król dębowy.*

*Z małego wyrósł nam ziarna
I rośnie bujnie i godnie,
Przetrwaj dziesiątki lat całe,
By po nas szumieć żałobnie.*

Po opuszczeniu cmentarza patrzę wzdłuż asfaltowej drogi biegnącej prosto do Stanisławowa. Stąd niedaleko do miejsca, gdzie po obu stronach drogi leżała Ksawerówka, spalona przez banderowców. Dziś nie ma tam już ani jednego domu, tylko szerokie pola.

Wiele zmieniło się w mojej Tyśmienicy, niektóre jej fragmenty stworzyły nowy obraz miasta. Ale pozostało też wiele dawnych miejsc, dawnych śladów, które przeniosły mnie na krótko do tamtych minionych lat... To dla tych śladów powracałem tam jeszcze kilkakrotnie. □

Stanisław Pelikan

Mój wiersz to swojego rodzaju reminiscencja po pobycie w moim rodzinnym mieście Tyśmienica po przeszło trzydziestoletniej nieobecności.

We wrześniu 1975 roku wybrałem się razem z moim bratem Tadeuszem w rodzinne strony, aby jeszcze raz zobaczyć je, kto wie czy nie po raz ostatni. Jechaliśmy z bagażem wspomnień, a jednocześnie niepokojem, jak zastaniemy miejsca tak nam bliskie.

Rozczarowanie było ogromne!

Z trudem odnajdywaliśmy jakieś fragmenty, zakątki, dróżki, ścieżyny. Nawet nasz dom był już nie ten!

Błądziliśmy po łąkach, polach, szukaliśmy ogrodów dziadka, wujostwa, naszych, które teraz gdzieś tam przecinała jakaś droga, a w innym miejscu tkwiły zabudowania.

Kiedyś w końcu tych ogrodów rosły krzewy, a wśród nich kilka drzew czeremchy, której kwitnące kwiaty wydawały odurzającą woń, a ponieważ miododajne, brzęczały wokół nich pszczoły. Zajadaliśmy też czarne, cierpkie owoce tej czeremchy, wracając umorusani do domu. W ostatnich latach wyrósł tam maleńki dąbeczak.

Teraz po drzewach czeremchy ani śladu! Ale o dziwo! Z maleńkiego, niepozornego dąbeczaka wyrósł rozłożysty wysoki dąb. Patrzyliśmy ze wzruszeniem i podziwem na jego rozłożyste konary, w promieniach zachodzącego słońca.

Wydawało się, że obejmuje on nas swoimi ramionami i wita na naszej ziemi. Odeszliśmy pełni zadumy.

Po powrocie do kraju, po jakimś dłuższym czasie, kiedy przyszły refleksje i chwila romantycznego natchnienia napisałem tych kilkanaście rymowanych strof o naszym dębie, poświęcając je swojemu bratu Tadeuszowi, aby ocalić od zapomnienia to, co nam bliskie, a w nas pozostało.

Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.)

Ks. Lesław Jeżowski

Ulica Piłsudskiego

A aby to uczynić, wracam sprzed kościoła ulicą Kościelną do jej początku, do narożnej kamienicy p. Kowalewskiego, gdzie Kościelna zbiega się z opisaną już ulicą Trzeciego Maja i z ul. Józefa Piłsudskiego, przekraczam jezdnię i prawą stroną Piłsudskiego idę w stronę rynku. U początku tej jednej z głównych ulic tłumackich stała dobrze wyglądająca kamienica Iwana Makucha, adwokata i senatora z ramienia UNDO, Ukraińca. Lubił on przechadzać się czasem po mieście i odwzajemniać składane mu ukłony pochodzące przeważnie od jego współrodaków lub Żydów. Miejscowi Polacy na ogół nie darzyli Makucha sympatią z uwagi na jego ukraińską działalność nacjionali-

styczną. Czy ona sięgała szowinizmu, trudno mi powiedzieć, w każdym razie polskie władze administracyjne odnosiły się do niego niechętnie. Trzeba przyznać, że Makuch postawę miał senatorską. Wysoki, szczupły i wyprostowany, pielegnował siwe włosy i wąsy. Ubierał się ciemno. Nie wiem, jak przedstawiały się jego stosunki rodzinne.

Na parterze kamienicy, w lokalu sklepowym, posiadał zakład szewski p. Łukasiewicz, mocno łysawy, szczupły, w średnim wieku. Jego brat urzędował w Starostwie. Z usług pracowni Łukasiewicza korzystała przeważnie polska inteligencja. Jedną z moich bytności w zakładzie utkwiała mi szczególnie w pamięci. Wchodząc do pracowni, zobaczyłem w niej stojącego mego profesora z języka niemieckiego,

p. Hausera. Jego widok tak mnie zaskoczył, że nie wiedziałem, jak się mam zachować, straciłem zupełnie głowę. Swoich nauczycieli kojarzyłem zawsze z gimnazjum, z ulicami, a tu nagle spotkanie z profesorem u szewca. Pozdrowiłem Łukasiewicza, wybełkotałem życzenie odnośnie naprawy przyniesionego obuwia i skonsternowany wyszedłem. P. Hauser musiał się poskarżyć mojemu Ojcu, że nie ukloniłem się mu wtedy, bo Tato bardzo mi to wytknął. A ja ani jemu, ani sobie nie umiałem wyjaśnić, dlaczego zaniedbałem tego ukłonu i zachowałem się nieodpowiednio. Obok pracowni szewskiej był drugi lokal sklepowy.

Na parterze również, ale po drugiej stronie klatki schodowej, mieściła się kancelaria adwokacka Makucha. Nie wiem kto i czy w ogóle poza Hartensteinem w niej pracował. A samego Hartensteina, Żyda, nacjonalista Makuch zatrudnił, być może dlatego, aby zdobyć sobie opinię właśnie nie nacjonalisty, a także, aby przyciągnąć potencjalnych klientów niechrześcijan. Prywatne mieszkanie adwokata mieściło się na piętrze. Jego ozdobę, unikatową w Tłumaczu, stanowiła obszerna loggia. Nie przypominam sobie, czy jakieś ukraińskie instytucje miały swoje locum w tym domu.

Kamienicę Makucha od sąsiadującej z nią parterowej z piętrem i oficyną restauracji Fischera oddzielała wolna parcela, większą część roku porośla jakimś zielskiem. W podwórzu restauracji stały konne wozy, gdy ich właściciele przebywali we wnętrzu lokalu.

Obydwójce Fischowie zatarli się w mojej pamięci, za to pamiętam doskonale ich młodego krewnego, Berlina, który kilka lat przed 1938 r. przybył do Stanisławowa i chodził ze mną do jednej klasy. Wysoki, rumiany i tegi dobrze się uczył, a na lekcjach gimnastyki chętnie grywał w siatkówkę.

Za restauracją Fischera ciągnął się długi dom, murowany, parterowy z kilkoma sklepami tekstylnymi i jednym obuwniczym. Obuwie sprzedawał rudy Żyd, gruby i niski. Chociaż coś u niego kupowałem, zapomniałem, jak się nazywał. Do tego długiego domu przylegała jednopiętrowa mała kamienica z wejściem od strony rynku.

Przechodzę teraz na drugą stronę ulicy i wracam nią do kamienicy Kowalewskiego. Ta strona rozpoczynała się od rynku jedną lub dwiema złączonymi ze sobą kamieniczkami, jednopiętrowymi, na których parterze mieściły się żydowskie sklepy. Ich właściciele mieszkali zapewne na piętrach. Wśród nich Herrmann zajmujący się sprzedażą butelkowanych napojów alkoholowych, częściowo w hurcie. Cała jego rodzina przejęła europejski wygląd zewnętrzny i obyczajowość. Już choćby handlowanie alkoholem o tym świadczyło. Herrmannowie mieli chyba więcej dzieci, ale pamiętam z nich tylko syna, przystojnego, smukłego bruneta, absolwenta gimnazjum. Chciał podjąć studia medyczne we Lwowie, ale czas temu nie sprzyjał. Młodzież bowiem uniwersytecka walczyła wtedy z dominacją Żydów na wydziałach szczególnie przez nich uczęszczanych. Tworzono na nich getta, numeri clausi etc. Toteż młody Herrmann nie dostał się na lwowską medycynę. Zapewne nie powiodły się mu starania i w innych miastach, bo wyjechał do Włoch i tam stał się medykiem, jak mówiło się dawniej na przyszłych lekarzy. Na ferie przyjeżdżał do domu i w towarzystwie rówieśników, w studenckiej, zagranicznej czapce paradował po ulicach Tłumacza, emanując dalekim światłem.

Do wspomnianych kamieniczek dołączał się parterowy, duży dom z dwuspadowym dachem, stojący bokiem do ulicy. Należał do kupca Dickera. Z chodnika do domu wchodziło się po jednym lub dwóch betonowych schodach, tak długich jak bok domu. Znajdująca się w jego środku sień wiodła do wnętrza, a po jej obydwóch stronach mieściły się dwa sklepy. Ten po lewej, spożywczy, prowadził sam Dicker. Był już starszym człowiekiem, którego jakaś choroba, prawdopodobnie kręgosłupa, bardzo pochylała ku ziemi, obydwie ręce odchyliła na plecy, a chód uczyniła niezgrabny i ciężki. Chociaż z widocznym wysiłkiem, p. Dicker przemierzał często w swoich inte-

resach ulice Tłumacza. We wnętrzu sklepu i domu nie byłem nigdy, ale wiedziałem o jego mieszkańcach.

Przede wszystkim o rodzinie swojego profesora gimnazjalnego, dr. Leona Hausera. Jak przedtem napisałem, uczył nas języka niemieckiego. Studiował w Niemczech i żywił do tego kraju wielką sympatię. Z przyjemnością opowiadał nam na lekcjach o niemieckich miastach, zabytkach, sztuce, muzyce, a zwłaszcza o literaturze, której przykłady mieliśmy w swoich podręcznikach. Jako student, p. Hauser należał do akademickiego chóru i wyniósł z niego znajomość wielu pieśni i piosenek. Czasem sam je nam śpiewał, a czasem my, nie chcąc dopuścić do odpytywania nas lub pisania pod dyktando, upraszczałem profesora, aby demonstrował nam swoje umiejętności wokalne. Hauser nie dawał się długo prosić. Największy entuzjazm w klasie wywoływała piosenka, w której profesor naśladował głosy kilku ptaków. Zdarzało się, że przy szybkich i gwałtownych ruchach mimicznych twarzy spadały mu z nosa cwikiery, których stale używał, co powodowało dodatkową wesołość słuchaczy. Posiadając wielką wiedzę, p. Hauser nie był dobrym dydaktykiem, bo w ciągu ośmiu lat nauki chyba nikt z nas nie opanował języka niemieckiego.

Oprócz niemieckiego, profesor Hauser od roku szkolnego 1933/34 przez dwa lata uczył nadobowiązkowo języka angielskiego. Lekcje odbywały się po południu i płacono się za nie 3 złote miesięcznie. Uczących się nie zebrało się wielu ze wszystkich klas, a i oni topnieli, więc profesor przerwał lekcje. Niewykluczone, że od uczenia się angielskiego odrzuciła metoda Berlitta, zupełnie odmienna od tej, do jakiej przywykliśmy na lekcjach łaciny, niemieckiego czy greckiego. Niczego nie tłumaczyło się z angielskiego na polski i na odwrót, tylko trzeba było od razu posługiwać się angielskimi pojęciami i zwrotami, mając jedynie wizualne ich objaśnienie. Nie wiem ile obcych języków znał profesor Hauser, ale wśród nich znajdował się tak niecodzienny wówczas w Polsce, jak arabski.

P. Hauser był średniego wzrostu, więcej łysy niż szatyn, miał trochę ostro sklepioną czaszkę, długawy nos, na którym zawsze tkwiły cwikiery. Normalnej tuszy, chodził powoli, przystając co jakiś czas, podpierając się łaską. Być może lekko wygięte nogi utrudniały szybsze poruszanie się. Dbał o wygląd zewnętrzny, ubierał porządną garnitur, pilśniowy kapelusz, w zimie futro z kołnierzem szalowym z wydry.

Nigdy mnie to nie interesowało, więc nie dowiedziałem się w jaki sposób z szerokiego świata p. Hauser trafił do prowincjonalnego Tłumacza i pojął za żonę córkę miejscowego kupca. Pani Hauserowa, dosyć obfitych kształtów ciemna blondynka, dodawała sobie urody kosmetyką i z przyjemnością pokazywała się na mieście u boku męża, mając przy sobie dwoje dzieci. Julek chodził do szkoły powszechnej, podobnie jak młodsza od niego siostra, Klara. Chłopiec był urwisem i sprawiał rodzicom kłopoty, czego nigdy nie czyniła blondyneczka Klara.

Hauserowa miała brata, łysiego, tęgawego młodziana po trzydziestce. Nigdzie nie pracował, nawet w sklepie u ojca, który żywił go za darmo. Miał chyba za sobą jakieś studia humanistyczne, może literackie, może teatralne, bo okazjonalnie korzystano z jego wiedzy w tej dziedzinie. Pomagał np. uczniom starszych klas gimnazjalnych, którzy za zadanie mieli opracować inscenizację jakiegoś dzieła naszej dramaturgii. Działal w kółku dramatycznym żydowskim, które jednak nie dawało swoich przedstawień w sali Sokoła. Gdy sopytkalem Dickera-juniora, wydawał się mi, jak kilku innych mieszkańców Tłumacza, nie przystającym do tego małomiasteczkowego środowiska. Widziałbym go w dużym mieście reżyserującego repertuar znanego teatru. Jeżeli Dicker coś pisał i publikował, jak gdzieś słyszałem, to prawdopodobnie nie w polskich wydawnictwach ogólnie dostępnych. Nie natknąłem się na żaden jego tekst.

Przy sklepie Dickera stał mniejszy, biedniejszy dom, ale podobnie jak jego sąsiad, bokiem przylegający do chodnika i mający sień pośrodku. Mieścił się w nim sklepik Plessera. Z jego synem chodziłem

do jednej klasy gimnazjalnej. Był kaleką. Jedną nogę miał niesprawną, ponadto skrzywiony kręgosłup. Coś mi się zdaje, że na imię miał Jakub. Gdy inni Żydzi zachowywali się w gimnazjum raczej hałaśliwie, on był zawsze spokojny i cichy, nie kłócił się z kolegami. Chyba ze względu na sąsiedztwo i posiadane do Plessera zaufanie, prof. Hauser powierzał mu zeszyty z naszymi wypracowaniami szkolnymi, aby odnosił je do jego mieszkania celem dokonania oceny.

W tym domu, co Plesser, miał zakład krawiecki Chaim Feingold. Uważano go za zdolnego i solidnego rzemieślnika, toteż tylko on szył nam całą potrzebną odzież. Wzorem krawców z większych miast posiadał własną jakby wizytówkę tekstylną, którą przyszywał do podszewki wykonanych przez siebie sztuk odzieży. Niski, grubawy, lekko siwiejący, zawsze bardzo ugrzeczny chodził do swoich znaczniejszych klientów do przymiarek, trzymając przewieszoną na ręce nie wykończoną garderobę. W domu pomagała mu w pracy żona, przyjemna i uśmiechnięta.

Feingoldowie mieli syna, Benia, który bez wysiłku a przyjemnie chciał przeżyć swoje lata. Nie był ani do pracy, ani do nauki. Lubił za to sport: piłkę nożną. Grał w miejscowej drużynie Makkabi albo Hasmonea. Rodzice musieli mieć z jego powodu niejednego kłopot, słyszało się o tym, który on umiał ośladzać odziedziczoną po nich układością i uśmiechem. Prawdopodobnie z powodu swoich zainteresowań sportowych i przynależności do drużyny piłkarskiej, Benio był bardzo popularny wśród uczniów gimnazjum. Nie wiem dlaczego nazywano go Benio Makarewicz.

I kolejny dom, też parterowy, z dużym dachem, w którym mieścił się sklep Składnicy Kółek Rolniczych. Do jego powstania przyczynił się przed wieloma laty ks. Tabackowski. Ten sklep był jednym z nielicznych chrześcijańskich w Tłumaczu i największym z nich. Jak wspominałem, jego kierownikiem był p. Jasiński, doświadczony kupiec, umiający właściwie odnosić się do kupujących. A że sklep posiadał duży wybór towarów i cen nie miał wygórowanych, dokonywali w nim zakupów liczni Polacy, którzy rozumieli potrzebę popierania własnego handlu. Żydzi i Rusini stronili od składnicy. W sklepie tym pracowali jeszcze inni sprzedawcy, a może tylko jedna kobieta, ale nie potrafię ich sobie przypomnieć. Do lokalu sklepowego wchodziło się przez drzwi obok których znajdowała się wystawa, a na prawo dwa normalne okna oświetlające wnętrze równoległe do ulicy.

Dochodzimy do piętrowej kamienicy i do mieszczącej się w niej wędliniarni p. Agopsowicza. Często ja sam dokonywałem w niej zakupów, zwłaszcza wtedy, gdy moja klasa mieściła się w pobliskim

domu filii gimnazjum. Do bułki przyniesionej z domu i posmarowanej masłem dostawałem za 5 groszy kilka płatków szynki lub polędwicy. P. Agopsowicz sam obsługiwał swoją masarnię. Szczupły, ciemnowy na twarzy, szpakowaty, miał okulary nisko opuszczone na nosie, spomad których patrzył na klientów.

Kto wie, czy w sąsiedztwie Agopsowicza nie znajdowała się jatką żydowska z wyrąbem mięsa? Na pewno jakiś tam sklep był. Widywałem w nim swojego kolegę Zillera, widocznie krewnego właściciela. Coś pewnego mogę dopiero powiedzieć o kolejnym pomieszczeniu na parterze, gdzie miała swój gabinet, za zasłoniętym białym płótnem oknem, lekarka Ada Feiermannowa. Jeżeli Leśniakiewicz, tzw. „fizyk” zajmował się pod względem zdrowotnym powiatem, to Feiermannowa miastem. Otyła, niezgrabnie chodząca brunetka, niemal stale z jakąś torbą pod pachą. Mieszkała na piętrze, nad gabinetem ordynacyjnym, wraz ze swoim synem Eleszarem.

Wołano na niego Eli. Był o dwa lata starszy ode mnie. Jego klasowi koledzy, Żydzi, opowiadali o dużym księgozborze, jaki posiadał. Czasem wypożyczał coś z niego swoim współwyznawcom, ale Polakom – raczej nie. Brunet, miał nadętą minę, niezyciwy wyraz twarzy, ciemnopiwnie oczy przysłonięte okularami. Po matce odziedziczył skłonność do otyłości. Inteligentny i zdolny nie miał trudności w nauce. Zajmowały go zagadnienia filozoficzne, społeczne, polityczne. Gdy doszedł do klasy przedmaturalnej, mówiło się, że organizuje jakąś jaczekę komunistyczną, rozpowszechnia bibułę antypolską a prosowiecką, wypożycza publikacje marksistowskie. Może wiedział o tych poczynaniach i policja, ale nie zajęła się nimi z uwagi na Feiermannową. W małym miasteczku chociażby tylko policyjne przesłuchanie jej syna wzbudziłoby niepożądaną sensację, wywołało kontrinterwencję wpływowych osób, którym zależało na dobrych stosunkach z lekarką miejską. I w ten sposób Eli mógł spokojnie działać na szkodę Polski.

Doszedłem znowu, ulicą Piłsudskiego, jej stroną nieparzystych numerów do narożnej kamienicy Kowalewskiego, w której posiadała hurtownię wyrobów tytoniowych, sprzedaż weksli, stempli itp. p. Domaszewska, którą już przypominałem, wędrując wspomnieniami po ulicy Słowackiego. Jej pracownicą była bardzo sympatyczna i bardzo dobrze ułożona panna. Cesała swoje blond włosy gładko, z przedziałem na środku głowy. Unikała męskiego towarzystwa, bezcelowych przechadzek po ulicach, wędrowek w parku. Ubierała się ze smakiem i skromnie.

(c.d.n.)

Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

Pamiętnik J. A. Jakubowicza (c.d.)

Więzienie w Kijowie

Nadjechały czarne samochody i powiozły nas do więzienia. Ciekawi byliśmy jak wygląda Kijów, stolica Ukrainy radzieckiej, ale samochody były tak szczelne, że na boki nic nie było widać, tylko w suficie były wentylatory, tak skonstruowane, że u góry także nic nie było widać. Samochody wjechały przez żelazną bramę na duży dziedziniec otoczony wysokim murem. Na dziedzińcu tym stały wysokie i masywne bloki więzienne. Wprowadzono nas, grupę polską do ogromnej sali przepełnionej więźniami. Z kąta poczęto nas wywoływać, byli to nasi koledzy, których tu przed tygodniem przywieziono. Przepchaliśmy się do nich i po powitaniach zaczęła się pogadanka. Koledzy, którzy tu prędzej przybyli informowali nas o zwyczajach na sali. Otóż z tej sali zabierano więźniów grupami i prowadzono do innych bloków, co dalej się z nimi działo tego nie wiedzieli. Najwięk-

szą plagą budynku, w którym znajdowała się nasza sala były pluskwy, które w nocy po prostu wylegały całymi chmarami i kąsały, tak, że nie można było oka zmruzzyć. Kolega nasz Dziedzic, opowiadał nam, że zabijając w nocy pluskwy doliczył do 100, a później mu się pomyliło więc zabijał dalej bez liczenia. Bąble na rękach, twarzy i na całym ciele świadczyły o prawdziwości relacji. W sali panował gwar i wielka swoboda. Widać było, że była to sala przechodnia „peresilnaja”, w której nie starano się jeszcze wprowadzać rygorów więziennych. Słychać tu było różnojęzyczny gwar: mówiono tu po rosyjsku, ukraińsku, gruzińsku, czesku, po polsku i innymi językami. Więźniowie gromadzili się grupami według narodowości. Pożywienie nie odbiegało niczym od tego jakim nas częstowano w innych więzieniach. Dzień upłynął nam szybko, wśród tylu nowych wrażeń. Zaczęliśmy się układać do snu na ziemi. Z chwilą gdy światło częściowo

wygasło, pojawiły się pluskwy. Wychodziły ze ścian, spadały z sufitu, wypełzały z podłogi i wdrapywały się przez nogawki spodni, przez rękawy, wsuwały się za kołnierze i biegały po twarzy i rękach. Było to uczucie wstrętne i obrzydliwe kiedy się czuło taką moc owadów śmierdzących na ciele. O spaniu nie było mowy, trzeba było się bronić i zabijać te wstrętne owady. Po godzinie ręce były czerwone od krwi. Taka noc wyczerpuje ludzi zupełnie i nie ma mowy aby się człowiek mógł do takiej plagi przyzwyczaić. Rano prowadzono nas do ustępu, który był równocześnie umywalnią. Tam staraliśmy się umyć od krwi twarz i ręce, a trzeba to było robić szybko, gdyż czas dla każdej grupy był ograniczony. Po powrocie na salę rozpoczynał się normalny dzień więzienny: rozdawanie herbaty i chleba na cały dzień. W trzy dni po naszym przybyciu wprowadzono na salę grupę więźniów mówiących po ukraińsku. Zaczęliśmy po polsku dzielić się uwagami na ich temat. Gdy usłyszeli mowę polską podszedł do nas jeden z nich i zapytał: „czy mogą się do nas dołączyć”, oczywiście zgodziliśmy się na to chętnie. Wśród nich był sędzia z Żółkwi i adwokat także z Żółkwi, a również dwóch Czechów, którzy byli lotnikami wojskowymi. Z nimi było jeszcze czterech Polaków mieszczań z Żółkwi. Najbardziej rozmownym i inteligentnym okazał się adwokat, człowiek tegi i jak często wśród grubasów bywa, rozmowny i dowcipny. Zaraz na wstępie zastrzegł sobie, żeby tu w więzieniu nie wywlekać nowych sporów narodowościowych. Tu powinniśmy o wszystkim zapomnieć i wzajemnie sobie pomagać. Opowiedział nam, że na wiosnę, w maju, a więc nie dawno, zostali aresztowani pod zarzutem nacjonalizmu. Duża część inteligencji ukraińskiej podejrzana o dążenia separatystyczne została uwięziona. Opowiedział nam, że rodziny aresztowanych w jesieni Polaków zostały także aresztowane i wywiezione w nieznanym kierunku. Taki sam los spotkał rodziny oficerów polskich, którzy dostali się do niewoli niemieckiej. Ta wiadomość zasmuciła nas bardzo, gdyż nie wiedzieliśmy czy wśród wywiezionych nie znajdują się nasze żony i dzieci. Gadatliwy adwokat zapewniał nas, że taki stan długo nie potrwa, gdyż najdalej za dwa miesiące Niemcy uderzą i rozniosą w puch cały ustrój sowiecki. Pomylił się równo o rok. Skąd Ukraińcy mieli takie wiadomości nie wiedzieliśmy. Nie wierzyliśmy w te wiadomości, ale jak fantastycznych koncepcji, tak i my komentowaliśmy zasłyszane wiadomości. Nie oceniony adwokat bawił nas dowcipami i anegdotami cały tydzień jaki z nim spędziliśmy. Obydwaj młodzi Czesi byli lotnikami wojskowymi, chcieli oni w polskim lotnictwie walczyć przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcy. Czesi oburzeni byli postępowaniem sowieckim. W czasie agresji niemieckiej na Czechy Stalin zachęcał ich do oporu, a teraz zostali pozbawieni wolności i to nie wiadomo na jak długo. Codziennie rano około 8 wchodziła na salę grupa NKWD: wywoływali oni cały szereg nazwisk i wyprowadzali wywołanych do innych budynków. Przyszła i na nas kolej. Weszli jak codziennie rano i od razu padły polskie nazwiska. Cała nasza grupa została odczytana. Wyprowadzono nas na podwórze, ustawiono dwójkami i poprowadzono między blokami więziennymi do żelaznej furtki w murze. Otworzył ją dużym kluczem jeden z konwojentów i kazał nam przechodzić. Weszliśmy na duże podwórze opasane jeszcze większymi murami aniżeli poprzednie, a na każdym załamaniu muru stała wieżyczka, w której siedział strażnik z karabinem. W centrum stało kilka masywnych budynków z przeznaczeniem dla ciężkich przestępców, a nazywało się to „spec-korpus”. Wprowadzono nas na pierwsze piętro jednego z budynków i zaczęto rozdzielać na dwie grupy. Starłem się nie wejść do grupy w której był Polański, gdyż sprzykszyły mi się jego wieczne opowiadania o Rokitnie, w ciągle zmienionych wersjach, gdzie on odgrywał rolę głównego bohatera. Grupę w której ja się znalazłem wprowadzono do celi na I piętrze. Drugą grupę z Polańskim odprowadzono na II piętro. Weszliśmy do celi w której było już około 20 więźniów, nas było dziewięciu. Cele jak wszystkie cele więzienne o zakratowanych oknach, zaszalowanych z zewnątrz de-

skami, pozwalającymi światłu docierać tylko górą, podłoga cementowa, cela bez pieca. Lokatorzy celi sami obywatele sowieccy ukarani przeważnie za przestępstwa natury gospodarczej, a to wielkie kradzieże i oszustwa. Przyjęto nas z rezerwą, ale raczej przychylnie. Odstąpiono nam część celi abyśmy byli razem nie krepowani przez nich. Zaczęliśmy się rozlokowywać. Mieliliśmy do dyspozycji łóżka żelazne bez sienników, na jedno łóżko wypadało dwóch więźniów. Ułożyliśmy się na jednym łóżku z Hamerskim, policjantem ze Stanisławowa. Moimi rzeczami kurtką i kocem wyłożyliśmy spód łóżka zamiast sienników, a Hamerskiego szeroki płaszcz policyjny służył nam za nakrycie. Ponieważ łóżka były wąskie – układaliśmy się „na waleta”, gdzie jeden z nas miał głowę, drugi miał nogi. Po jakimś czasie obie grupy zaczęły zawierać między sobą znajomość. Zaintrygował mnie mężczyzna z ładnie wypielęgnowaną brodą, dobrze ubrany, który nerwowo spacerował w przejściu między łóżkami. Był to Ukrainiec ze Lwowa nazwiskiem Harasymowicz, który posiadał małą wytwórnię atramentu, ale nie za to był aresztowany, tylko za nacjonalizm i dążenia do stworzenia Niepodległej Ukrainy. Z nim w czasie długiego pobytu w więzieniu kijowskim przedyskutowałem wiele godzin. Drugim, który wybijał się inteligencją był Kozłowski, Żyd obywatel sowiecki. Był on naczelnikiem stacji kolejowej w Kijowie. Cekał na rozprawę sądową za grube nadużycia finansowe popełnione przez szereg lat. Umiął doskonale po polsku i niemiecku, był dowcipny, znał masę kawałów, poza tym był uprzejmy i koleżeński. Nie będę teraz wymieniał wszystkich spotkanych tu więźniów, gdyż pamiętam tylko wybitniejszych, a w czasie dalszego opowiadania wyłonią się dalsze nazwiska. Dodać muszę, że wszyscy współwięźniowie czekali na śledztwo i wyroki po których odsyłano skazanych na ciężkie prace w obozach, rozsianych licznie w północnych rejonach Rosji. Rosjanie zachowywali się nadzwyczaj taktownie, nie pytali nas o nic i prowadzili rozmowy ogólne celem zapoznania się z nami. Wśród więźniów był duży procent Żydów, którzy byli na kluczowych stanowiskach i potrafili wykorzystywać te stanowiska dla osobistych celów. Rosjanie raczej popełniali mniejsze przestępstwa, tylko robili to mniej umiejętnie aniżeli Żydzi. Był jeden więzień którego otaczała atmosfera zupełnego odosobnienia i nienawiści. Był to pracownik NKWD, który był w śledztwie i oczekiwał wyroku. Ostrzeżono nas aby się z nim nie wdawać w żadne poufałości. Zresztą on sam nie starał się z nikim szukać znajomości, udawał obojętność, ale widać było, że mu jest bardzo ciężko pogodzić się z tą atmosferą niechęci i nienawiści. Był jeszcze jeden człowiek, który sam nie szukał z nikim zbliżenia i niechętnie wdawał się w rozmowy. Jeżeli przejścia między łóżkami były wolne, spacerował milcząc i palił tylko papierosa za papierosem. Mówiono o nim, że to jest oficer rosyjski podejrzany o kontrrewolucję. Wszystkim więźniom będącym w śledztwie przysługiwało prawo otrzymywania paczek żywnościowych dwa razy w miesiącu. Wolno było w tych paczkach przysyłać również papierosy. Tylko my byliśmy z tego prawa wyłączeni. Raz dla tego, że rodziny nasze były zbyt daleko, a po wtóre nie wiedziały od chwili naszego aresztowania gdzie się znajdujemy. Wówczas już wiele polskich rodzin było wywiezionych i głodowało w rejonie Nowosybirsk. Ja sam nie palę, ale wszyscy inni moi towarzysze byli namiętymi palaczami. Dym z papierosów sprawiał im nieopisane męki, szczególnie odczuwał to Hamerski, który starał się choć jeden dymek pociągnąć od kogoś z Rosjan. Bogate paczki, szczególnie w papierosy otrzymywał Kozłowski, były zawiadowca stacji w Kijowie. Od czasu do czasu rozdawał on papierosy Polakom, a szczególnie upodobał sobie Hamerskiemu. Doszło do tego, że codziennie wydzielał dwa papierosy Hamerskiemu, jednego rano, jednego wieczorem. Ponieważ leżeli pod przeciwległymi ścianami załatwiali to pocztą lotniczą. Kozłowski rzucał papierosa przez całą celę, a Hamerski w locie chwycił. Nie zdążyło się nigdy aby ktoś przy nieudanym rzucie zatrzymał sobie papierosa.

(c.d.n.)

Pod Monte Cassino (2)

Stanisław Kochański

14, 15, 16, 17 maja W któryś wieczór był wielki nalot na dolinę na południe od nas. Samoloty rozwiesiły mnóstwo rakiet. Jedna z nich była niedaleko za Antkiem. Ostrzelaliśmy je ze Zdzisiem z Brennerów. Kilka pocisków było trafnych i obłupaliśmy je trochę. Artyleria przeciwlotnicza robiła zapory i zestrzeliła jeden samolot.

Wysłałem paczkę do Rosji, do Mamusi, za 7,50 funta: cukier, smalec, herbata i mydło. Żeby tylko doszła!

Wysłałem podanie do Dowództwa z prośbą o udzielenie wizyjazdowych z Rosji do Afryki Wschodniej dla Mamusi. Podróż miałaby się odbyć na własny koszt. Boże, jaki byłbym szczęśliwy. Choć w części spłaciłbym dług wdzięczności wobec Mamusi. Lecz niestety wątpię, czy to się uda.

20 maja Dziś w południe był nalot. Jem obiad i słyszę jakieś wybuchy w stronie odcinka 5 DK (Dywizji Kresowej). Pomyślałem, że nalot, ale uspokoiło mnie milczenie Zdzisia, który był przy działach. Po chwili dopiero Zdzisio woła: „do działa!”. Rzucam menażkę z zupą i lecę do dział. Po drodze zobaczyłem, że znad drzew wylatują dwa Focke Wulfy. Przed nami skręciły w prawo, w stronę linii. Ostrzelaliśmy je i prawdopodobnie jeden spadł.

21 maja Dostałem rano list od Bolka Włodzika. Kilometrowy. Po południu byli pancerniacy. Dałem im sukno, na nim ich kolega ma wyszyć ze sprężynek orzełki. Kolega Bolka, pdch. Szkoda, stracił rękę.

22 maja Napisałem list do Mamusi, podałem swój adres polowy po rosyjsku i angielsku. Po południu projektowałem jakąś wkładkę do albumu lub pamiętnika. Orzełek ze sprężynek i choinka. Kiedyś, po latach, pokazywałbym ten album swoim dzieciom i śpiewałbym:

Pamiętaj o tym, synu,

tatusz był pod Cassino.

*Kiedy strzelali, myśmy sobie, myśmy sobie
popijali wino.*

Też się mnie myśli czepiają. Ktoś, kto by to przeczytał, pomyślałby, że do reszty zwariował. Po południu Niemcy grzali bardzo blisko. 80 metrów od nas spadł jeden niewypał, a potem „wypał”. Odłamki ścinały gałęzie. Wieczorem szef wymienił nam furazerki na berety. Dostałem list z Indii od Reni i Lali (siostry autora – przyp. red.)

23 maja Rano, o 3:00 obudził mnie Bielecki. Nalot. Wyciągnąłem siebie i innych ze schronów. Rzeczywiście, krążą samoloty i bombardują dolinę. Ciężka artyleria p-lot robi zaporę. My nie. Odłamki furczą nad głową. Blisko nas padają bomby. Jakiś samolot z głośnym rykiem pikuje gdzieś blisko i rzuca bombę. Na szczęście niewypał. Świta. Przez lornetkę obserwuję niebo, może będzie już widać Szwabę. Na próżno. Na wszelki wypadek dociskam naboje. „Nam strzelać nie kazano.”

Napisałem list do Reni i Lali. Czytałem Leszka list od matki. Boże! Co ja bym dał, żebym mógł dostawać takie listy od Mamusi i pisać do Niej. Leszek to jeden z kierowców dywizjonu. Dwa lata młodszy ode mnie, ale udawał starszego, ażeby dostać się do wojska, a nie do junaków. Przyłgął do mnie i traktuje mnie jak starszego brata.

godz. 8:00 Niemcy serdecznie strzelają. Stoje przy działach, odłamki padają koło nas. W jarze, niedaleko od nas, zapaliły jakąś amunicję. O godz. 7:00 nadleciały Mustangi (nasze samoloty) i były ostrzeliwane przez wszystkie działony. Ja wstrzymałem ogień. W nocy przyjechał szef dywizjonu uzupełnić amunicję. Powiedziałem mu, że do własnych samolotów nie strzelamy.

24 maja Spotkałem Danka Sperkacza, poznałem go na budowie kolei w Rosji. Padał deszcz, weszliśmy do kabiny jego Dodge'a i gadaliśmy do 11-ej w nocy. Dowiedziałem się, że Stasia P. bardzo

nieładnie z nim postąpiła. Danko dostał list od matki z Rosji. Szczęśliwy chłopak!

Por. Kurowski przypuszcza, że nasz dywizjon pójdzie do piechoty. Nie daj Boże! Chętnie poszedłbym do Oerlikonów, ale „zajęczego fachu” nie lubię, mimo że mam wielki szacunek dla piechurów, ich poświęcenia i bohaterstwa.

25 maja Dzisiaj kapałem się pod wodospadem na strumyku, za działem Antka. Jaki piękny tam kąciek! Artyleria strzela, a tam cicho, tylko przelatujące nad głową pociski nie pozwalają zapomnieć o wojnie. Wracalem przez pola pełne maków, a potem przez zarośla. Uderzył mnie zapach czeremchy, co boleśnie ścisnęło za serce.

Mamy jechać na pięciodniowy wypoczynek, podobno do Campobasso. Na razie dostaliśmy azymuty ognia zaporowego nocnego. Postrzelamy trochę. Dziś w nocy Niemcy robili nalot na stanowiska artylerii angielskiej za Monte Cassino. Gen. Anders dostał Order Łaźni. Ma przyjechać Król Jerzy VI do polskich oddziałów.

Dostałem list od Bolka Włodzika. Prosi, bym przyjął od niego forse, gdyby była mi potrzebna na podróż Mamusi do Afryki. Spodziewałem się, że on dałby mi ostatni grosz, gdyby mi był potrzebny. A Bolek Kasperek zapewnia mnie, że nie będę musiał zwracać się z prośbą aż do Bolka Włodzika.

W klasztorze Niemcy podminowali trupy, ale nasi saperzy nie dali się nabrać. Włosi przy usuwaniu gruzów pracują w maskach, taki odór trupi. Armie z przyczółka Anzio i nasze zbliżyły się, pozostawiając Szwabom drogę odwrotu tylko przez góry. Czołgi i artylerię musieli zostawić.

26 maja Noc minęła spokojnie. Miałem służbę przed południem. Zdaje mi się, że się zaziębilem wczoraj, bo mam silne klucia w plecach. Z prowiantem dostaliśmy czekoladę. Dziś nad nami latał Dauntless. Oczywiście nikt go nie zna, więc nie został podany w meldunkach. Był to amerykański samolot, operował głównie na Dalekim Wschodzie, więc nic dziwnego, że nikt go nie poznał.

Klucia coraz silniejsze. Wieczorem zażyję aspirynę. Żeby tylko nie musiał iść do szpitala, bo stamtąd można się dostać do 7 Dywizji.

Śniła mi się tej nocy Nusia i koleżanki z jej klasy z Urszulanek. Byłem u nich na jakiejś lekcji. Wstydziłem się swego potarganego munduru i zachłapanych butów. Tłumaczyłem, że ja przed chwilą przyjechałem z linii.

Mówiło się, że dwa dywizjony z baterii mają iść do piechoty. Miał to być dopiero w Santa Maria, dokąd jedziemy. Tam będziemy stali na starych stanowiskach. Wiadomo było, że mamy za dużo artylerii przeciwlotniczej na siły Luftwaffe, a za mało piechoty, ale później okazało się, że nasza artyleria polowa też poniosła duże straty i tam przeniesiono część naszego pułku.

27 maja Jutro wyjeżdżamy na tyły, nie wiadomo dokąd. W nocy zmniejszyły się bóle w plecach.

28 maja Zielone Świątki Rano przyjechały ciągniki. Pakujemy rzeczy, zostanie tylko dział do wyciągnięcia. Nocować będziemy w Venafro, a potem dalej, ale nie wiemy dokąd. Mówią wszyscy, że na wypoczynek, a z PAL-u jednak pojechali budować działobitnie. Może i my pojedziemy na inny odcinek? Wolałbym.

Tak cudnie dziś na dworze. Nasza łąka cała zasłana kwiatami. Maki, ich jest najwięcej, stokrotki, fiołki i takie że nie wiem jak się nazywają. Trochę żal stąd wyjeżdżać.

Wieczór wczoraj był piękny. Usiadłem pod drzewem obok mego schronu i odmawiałem różaniec, część chwalebna, przy niej mogę się najszczerzej modlić. Księżyc świecił, drzewa szumiały. Gdzieś śpiewał jakiś ptaszek. Skończyłem różaniec i położyłem się na schronie. Tak żal mi było stąd odchodzić w czełusć schronu. Szum drzew przypominał mi Tłumacz, dom Babci i wakacje tam spędzane. Gdzie ostatni raz taki szum słyszałem? Właśnie tam, bo potem były stępy Kazachstanu, pustynie Iraku, Palestyna i Egipt. Babcia, Mamusia, dom, życie stało mi przed oczami. Położyłem się do łóżka z tymi myślami i długo nie mogłem zasnąć.

29 maja – nowe miejsce postoju koło Marcone (droga Campobasso-Benevento)

Wczoraj wieczorem przyjechaliśmy do Venafrò, do miejsca postoju pułku. Były tam już oba dywizjony. Spotkałem Romka, Ignaca i innych. Z Romkiem rozmawiałem do północy. Rano pobudka była o 3:30, a o 5:00 wyjazd. Po południu przyjechaliśmy na miejsce. Podobno mają być urlopy. Warto by pojechać, choć mam mało forsę. Bolek Kasperk obiecał, że za jego forsę wygraną w pokera spędzimy urlop we trójkę ze Zdzisławem. W Marcone spotkałem się z Bolkiem Włodzikiem.

Cały dywizjon stoi razem. Teraz zacznie się dopiero!!! Będę się pchał na wykładowcę rozpoznania samolotów, ale wątpię, czy mi się to uda.

8 czerwca – po wyjeździe z Marcone, nad Adriatykiem za Termili

Dziś wyjechaliśmy z Marcone. Znowu na front. Tym razem jedzie tylko artyleria. Podobno ostrzał artylerii niemieckiej jest o wiele gorszy niż pod Monte Cassino.

Prowadziłem ciągnik pierwszy raz w życiu. W jednym miejscu omal nie zjechałem w jar. Stoimy niedaleko PAC-u. Dywizjon cały na kołach.

9 czerwca Mamy pojechać do przodu, lecz nie na stanowiska. Będziemy stać nad morzem, są tam jakieś wille. Dziś święto Matki Boskiej Pokoju. Boże, żeby nareszcie można zaznać prawdziwego spokoju w domu.

10 czerwca Za godzinę wyjeżdżamy za Lanciano na obronę 1 Brygady. Wczoraj chodziłem z Bolkiem i Zdzisławem do wioski po wino. Dali nam żołnierze włoscy popić z wdzięczności za wyzwolenie od Niemców. Przy tej okazji nauczyłem się pierwszej serii włoskich przekleństw.

Wyjechaliśmy nie do Lanciano, tylko do jakiejś dziury. Rozbijamy namioty. Kąpałem się dzisiaj w morzu. Tylko na małym skrawku można pływać, reszta brzegu nie sprawdzona na obecność min.

11 czerwca Wróciłem właśnie z rozpoznania stanowisk w Ortonie. Moje jest na górze nad morzem. Godz. 18:00. Stanowisko już zajęte. Mieszkam z por. Kurowskim w domu. Dużo ładnych wieści. Ale co z tego?

13 czerwca Telefonował Rogalski, że mamy przygotować ciągniki do drogi. Co to ma znaczyć? Tylko ciągniki?

15 czerwca – 2 km za Ortoną

Wróciłem z Pescary z rozpoznania stanowisk. Po drodze wszystkie zniszczone, domy w Pescarze tylko od wewnątrz, ale miasto zupełnie wyludnione. Widziałem jedną staruszkę jeszcze półprzytomną z przerażenia. Ludzie wracają do swych domów, które stanowią jedną kupę gruzów. Okropność!

Jestem silnie przeziębiony, mam gorączkę.

17 czerwca – Pescara Stoimy już trzeci dzień na stanowisku. Co dzień drogą do Rzymu wracają do miasta całe rodziny lub ich część. Wiele z nich po kilku godzinach wraca, bo ich domy w mieście zburzone. Okropności wojny.

Listów żadnych nie dostałem. Dziś rano rozdano nam Krzyże Maltańskie, znak 8 Armii Brytyjskiej. Mamy je nosić na prawym ramieniu. Julek był na rozpoznaniu. Nasze stanowisko ma być nad brzegiem morza między bateriami ciężkiej przeciwlotniczej. Może tam znajdzie się jakiś dom, gdzie będzie można z kimś porozmawiać?

18 czerwca – Pineto Julek ma jechać na rozpoznanie. Mamy zmienić II dywizjon na pierwszej linii.

20 czerwca – Cupra Marittima Przyjechaliśmy wieczorem. Stanowisko na drodze. Obok nas dwie miny. Łóżko na skrzyniach amunicyjnych na szosie.

24 czerwca – Cupra Marittima Mamy pogotowie od wczoraj, od południa. Jedziemy znów na pierwszą linię. Na tym stanowisko było bardzo przyjemnie. Wiele dziewcząt, kilku studentów Włochów, z nimi chodziłem się kąpać w morzu. Zaprzyjaźniłem się trochę z Vincento Dielli z Neapolu. Zaprosił mnie do siebie do Neapolu. Teraz mieszka z rodziną u chłopą w górach. Przedwczoraj chodziłem do niego, a wczoraj pojechałem na motocyklu Józka. Dowódca nie chce mi dać motoru, działonowy nie może jeździć na motocyklu.

Nasza broń pancerna przełamała front niemiecki, więc na nowe stanowiska nie pojedziemy. Na razie zostajemy tutaj. Adam jest w San Benedetto, 12 km stąd.

Dalej miałem zamiar opisać inne przyjemne dni w Cupra Marittima, m.in. spotkanie z Taną Marcantoni, która później pisała do Mamusi i chciała sprowadzić Renię i Lale do Włoch. Ale to dłuższa historia.

29 czerwca – na południe od Monte Grenare Jesteśmy niedaleko frontu, stoimy na górze widocznej od Niemców, ale chyba poza zasięgiem artylerii. Na północny wschód widać między górami morze.

Dziś rozeszła się pogłoska, że cały pułk ma być rozwiązany i wcielony częściowo do piechoty, a część do kawalerii. Wątpię czy cały pułk będzie rozwiązany, może tylko nasz dywizjon, a gdybym szedł do kawalerii, nie martwiłbym się. Do piechoty nie mogę iść, bo źle znoszę wysiłek fizyczny, męczę się bardzo szybko i to wpływa na mnie deprymująco.

Napisałem do Reni i Lali, posłałem każdej po 10 szylingów.

2 lipca – koło Monte Cosaro Stoimy na północ od Civitanova. Cały dywizjon spakowany. Przyjechaliśmy wczoraj. Gdy przejeżdżaliśmy przez Civitanova, kobiety machały z okien obrusami, prześcieradłami, czym się tylko dało. Niespełna 48 godzin przed nami byli tam Niemcy. Jasio pocieszył mnie, że nie pójdziemy do piechoty.

3 lipca Rano o 7:00 wyjechaliśmy ze starego miejsca. Stoimy obok Recanati. W przejeździe zatrzymaliśmy się w Porto Recanati. Kąpaliliśmy się w morzu. Kupiłem tam od jakiegoś Włocha oficerską szablę włoską za 30 papierosów.

Dostałem list od kapitana Dunicza, siostrzeńca ks. kanonika Tabaczkowskiego. Píše, że chciał mnie odwiedzić na wypoczynku, ale wybrał się za późno, już po naszym wyjeździe.

(c.d.n.)

W cieniu białych nocy i czarnych dni

Wspomnienia spisane... (c.d.)

Janina Kochańska-Reich

Wczesną wiosną 1943 roku z grupą polskich dziewcząt przystąpiłam do pracy na ogrodach Wojentorga (handel wojskowy), które położone były po drugiej stronie rzeki Toboľ. Śniegi topniały i kra na rzece już ruszyła. Wtedy zdejmowano most drewniany, jedyny jaki był w Kustanaju i przeprawa odbywała się tylko

na czółnach. Od dzieciństwa miałam lęk przed wodą, a teraz musiałam pokonywać tę rzekę dwa razy dziennie. Toboľ rozlewał się szeroko, robił się ogromny, bo spływały do niego zwały śniegów. Czółna były duże, ciasno wypełnione ludźmi. Każda taka przeprawa kosztowała mnie dużo zdrowia, bardzo się bałam. Z czasem, gdy wody opadły i zaczęła się ciepła wiosna, most wracał na miejsce, ale myśmy z niego nie korzystały, bo mieszkaliśmy daleko, w innej części miasta. Wyszukałyśmy płytsze miejsca na rzece i przechodziłyśmy ją w bród. Dzięki temu

nasza droga do pracy i z powrotem była krótsza o kilka kilometrów.

Pracowało tam sporo młodych Polek. Zatrudniano nas przede wszystkim przy nawadnianiu ogrodów. Zajmowały one bardzo rozległy teren podzielony na dość duże grządki, z których każda otoczona była niewysokim wałem ziemnym. Myślałam, że nie wyższym niż 20 centymetrów. Na brzegu Toboła stała pompa napędzana silnikiem spalinowym. Od rzeki w głąb ogrodów biegł szeroki kanał, który po drodze rozgałęział się na węższe, te na jeszcze węższe i w ten sposób woda była rozprowadzana na cały obszar. Gdy zbliżał się strumień, trzeba było motyką otworzyć wał, zalać całą grządkę, szybko wał zamknąć i biegiem, ażeby nie dać wyprzedzić się wodzie, zdążyć do następnej grządki. Praca więc odbywała się cały czas w biegu i wymagała wysiłku. Ale ja ją lubiłam. Przyjemnie było ścigać się z wartkim nurtem wody. Zawsze dobrze czułam się w ruchu, a bliskość wody sprawiała, że nawet upalna pogoda nie była uciążliwa. To było dużo przyjemniejsze niż ciężka robota na suchych, gorących stepach, pod lejącym się z nieba żarem, gdzie jedynym cieniem był własny cień.

Na miejscu gotowano dla robotników obiady, a zajmowała się tym Polka, p. Kamińska. Zapamiętałam, że karmiono nas najczęściej zupą rybną z jarzynami. Bardzo nie lubię ryb, ale tam jadłam chętnie, bo nie był to czas na grymasy. W Kustanaju wprawdzie nie cierpiałymy głodu, ale też nigdy nie byliśmy syte.

Ten okres dość mile wspominam. Praca nie wyczerpywała tak bardzo, więc popołudniami miałyśmy siły i ochotę na spotkania koleżeńskie. Na Narymanowce mieszało dużo polskich rodzin, było więc sporo młodzieży. Głównie dziewcząt, bo młodzież męska poszła do Armii gen. Andersa. Jeszcze jedno mnie cieszyło, to mianowicie, że póki byłam w Kustanaju Mama nie pracowała, bo nie musiała. Ale niestety, trwało to niedługo.

Któregoś dnia, a było to w połowie maja, gdy wróciłam z pracy zastałam wezwanie na wojskową komisję lekarską. Okazało się, że i inne Polki, wszystkie w wieku od osiemnastu do trzydziestu lat, dostały to samo. W oznaczonym terminie zgłosiłyśmy się i ku naszemu zdziwieniu i zaniepokojeniu zobaczyłyśmy bardzo dużo polskich kobiet, które zjechały się z całej oblasti kustanajskiej. Wszystkie z takimi samymi wezwaniami. Jaki był cel tego, z początku nie wiedziałyśmy. Badania lekarskie były bardzo pobieżne, odrzucano tylko te z widocznymi objawami chorób lub kalectwa. Później odrzucono jedyne żywicielki rodzin. Wreszcie z tej bardzo licznej grupy wybrano tylko kilka dziewcząt, wśród których i ja się znalazłam, zabrano nam paszporty i wręczono karty powołania do polskiego wojska. Polecono, ażebyśmy już do pracy nie chodziły, bo wyjazd nastąpi za kilka dni. Ale po kilku dniach znowu nas wezwano, zwrócono paszporty i zabrano karty powołania.

Wróciłyśmy do pracy. Wkrótce na grządkach pokazały się pierwsze rzodkiewki, cebulka, sałata. Na miejscu można to było jeść, ale obowiązywał zakaz wynoszenia tego z ogrodów. Nie przejmowały się tym Rosjanki, ewakuowane z terenów objętych działaniami wojennymi, których dużo tam pracowało. Codziennie wynosiły pełne torby.

Minął maj, przyszedł czerwiec i pod koniec tego miesiąca, gdy któregoś dnia wróciłam z pracy, znowu zastałam kartę powołania. A ściślej mówiąc, był to już rozkaz wyjazdu. Termin był bardzo krótki, chyba dwudniowy. A więc prawie natychmiast.

Bardzo nie chciałam iść do wojska. Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie chciałam Mamy zostawiać. Wiedziałam, że potrzebuje mojej opieki i pomocy. Mogłam przecież przed rokiem wyjechać za granicę tym bardziej, że zdrowie miałam poważnie

zagrożone. Nie zdecydowałam się. A teraz nikt nie pyta czy chcę, czy nie, tylko mobilizacja i rozkaz wyjazdu. A po drugie wiedziałam, że Dywizja im. Tadeusza Kościuszki tworzona jest przez Związek Patriotów Polskich, organizację powołaną do życia przez komunistów. Od 1939 roku miałam świadomość, że ludziom, a szczególnie władzy tej formacji politycznej, wierzyć nie można. Miałam na to aż za dużo bardzo bolesnych i tragicznych dowodów. Nie byłam więc pewna dokąd nas biorą, czy do wojska polskiego, czy może do trudarmii?

Mama odprowadziła mnie na dworzec. Pożegnaliśmy się bardzo serdecznie, z trudem wstrzymując łzy. Ale gdy pociąg ruszył, wcisnęłam się w kąt przedziału i rozpłakałam się tak strasznie, myślałam, że mi z żalu serce pęknie. Zostawiłam ją daleko z kilkuletnią Krzysią, która jeszcze nie mogła być pomocna. Czy Mama podoła? Czy nie zachoruje? Czy nie będą głodne? Ciocia Janka też została zmobilizowana i miała wyjechać w drugiej grupie.

Konwojował nas kapitan sowiecki. W Czelabińsku czekałyśmy kilka dni na miejsca w pociągu. Na obiady chodziłyśmy do restauracji dworcowej, w tym czasie przeznaczonej tylko dla wojskowych. Sala miała złocenia na ścianach, czerwone kotary na drzwiach i oknach, ale w tych wytwornych wnętrzach do posiłków podawano drewniane łyżki. Przed budynkiem dworcowym, na rozległym placu, pod gołym niebem, koczowali umęczeni ludzie z tobołami, po kilka dni czekający na możliwość wejścia do pociągu. Przykry to był widok.

Gdzieś po tygodniu dołączyła do nas druga grupa z Kustanaja, jeszcze liczniejsza niż nasza. Była w tej grupie ciocia Janka. Gdy wreszcie dostałyśmy miejscówki, wyruszyłyśmy w dalszą drogę.

Do Siedlc, miejsca formowania 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, dotarłyśmy w połowie lipca. Batalion kobiecy, do którego nas wcielono, był już bardzo liczny. Znalazłam się w kompanii fizylierek. Przeszłyśmy twardą szkołę żołnierskiego życia. Szkolono nas tak samo jak mężczyzn. Uczyłyśmy się musztry, strzelania, rzucania granatem, a nawet walki na bagnety. Ćwiczenia były bardzo intensywne, siódme poty z nas wyciskały. W przyszłości miałyśmy pełnić służbę wartowniczą w warunkach frontowych i na tyłach.

1 Dywizję, a w jej składzie i naszą kompanię, przygotowywano do wyjścia na front. Miało to nastąpić 1 września. Niedługo przed tą datą zachorowałam ciężko na malarię. Nie wiem jak długo leżałam w namiocie sanitarnym, bo też i nie całkiem przytomna byłam z powodu wysokiej gorączki. Gdy wreszcie wygrzebałam się z choroby i zwolniono mnie ze szpitalnego namiotu, byłam tak bardzo osłabiona, że mój wyjazd na front z kompanią fizylierek stanął pod dużym znakiem zapytania. Nie chciałam odłączać się od koleżanek, bałam się tej rozłąki. Przyzwyczaiłam się do nich i wśród nich czułam się pewnie i bezpiecznie. Jakoś udało mi się uprosić dowódcę kompanii, porucznika Orłowskiego i zgodził się mnie zabrać. Następny atak malarii miałam dopiero po dziesięciu miesiącach, gdy byliśmy na Wołyniu.

Z Mamą utrzymywałam kontakt korespondencyjny. Nie było Jej łatwo. Miała wprawdzie status rodziny wojskowej, matki żołnierza, ale niewielkie przywileje z tego wynikały. Czytałam w listach, które przechowywałam, że czasem dostała coś z darów amerykańskich i wymieniała to na żywność. Ale musiała pracować, przyjęła pracę na ogrodach. Kiedyś opuściła dwa dni, bo źle się czuła i za to miała stanąć przed sądem. Nieobecność w pracy była bardzo ostro karana. Szczęśliwie znalazł się ktoś, kto Jej wtedy pomógł. Ażeby zaopatrzyć się w opał na zimę, musiała sama pojechać do lasu, zgromadzić tam trochę drewna, zapłacić i zorganizować transport do Kustanaja.

Sama musiała zaopatrywać się w chleb na kartki, a jakie to było trudne, już pisałam. Krzysia pełna niepokoju o wynik takiej wyprawy, stała przy mostku nad jarem i czekała na Mamusię. Gdy Mamusia z daleka dała znak, że zdobyła chleb, Krzysia z radości skakała. A gdy z zachowania Mamusi widziała, że chleba nie ma, opuszczała głowę i stała smutna. Tego dnia były głodne.

Ponieważ znam i pamiętam realia tamtego życia, przykro mi jest dzisiaj, gdy czytam listy Mamy z tego okresu. Łatwo sobie mogę wyobrazić, jak Ona się męczyła.

Mieszkały dalej z p. Jędrusińską i wspierały się wzajemnie. Kiedyś p. Jędrusińska zachorowała, sześć dni leżała w domu, a gdy stan jej pogorszył się, trzeba było wezwać lekarza. Diagnoza wzbudziła strach: tyfus plamisty. Chorą zabrano do szpitala. Mama została z trójką dzieci i pełną lęku, czy ktoś jeszcze nie zachoruje. Przecież te same wszy ich gryzły. Musiała codziennie chorej donosić obiady, bo szpital nie karmił. Ale przedtem musiała coś wymienić na produkty, ażeby było z czego przyrządzić ten obiad. Pisała do mnie, że jest bardzo zmęczona, że nie ma siły, a ja nic Jej pomóc nie mogłam. Ale i o mnie myślała z troską, bo napisała w tym liście: „Ty, taka młodziutka, poszłaś w świat na dole i niedole.”

1 Dywizja wyruszyła na front. Pociągami dowieziono nas w okolice Wiaźmy. Tam w lasach zatrzymaliśmy się na jakiś czas, a potem zaczął się marsz w kierunku Smoleńska. Myślę, że wszyscy żołnierze, którzy przeszli tę trasę, pamiętają to do dzisiaj. Maszerowaliśmy tylko w nocy, bo front był niedaleko i nad tymi terenami operowało lotnictwo niemieckie. Co noc robiliśmy od 20 do 30 kilometrów. Oczywiście pieszo. Nie było to łatwe, tym bardziej, że cały ekwipunek żołnierz nosił na sobie. A więc ciężki płaszcz, pistolet automatyczny i 72 naboje, łopatkę saperską i maskę przeciwgazową. Szliśmy szosą, deszcz siąpił i chłód dokuczał. Była jesień. W dzień kryliśmy się po lasach. Na postoju najpierw trzeba było zedrzeć pęcherze z otartych nóg, umyć je, jeżeli była woda, a potem onucami ciasno owinąć i wciągnąć buty. Dopiero wtedy można się było położyć, przeważnie na ziemi i przespać. A wieczorem w dalszą drogę i tak codziennie, ale już nie pamiętam jak długo to trwało. Twarde było życie żołnierza. Jak w piosence:

*Deszcz, jesienny deszcz, smętne piosenki gra,
Mokną na nim karabiny, hełmy kryje rdza.
Nieś po błocie w dal, w zachlapanym świecie,
Pod plecakiem przemoknięte osiemnaście lat.*

I tak się niosło te swoje osiemnaście lat po frontowych drogach, aż doszliśmy do Dniepru w rejonie Smoleńska. Most był zerwany, saperzy postawili pontonowy. Wytrzymałość takiego mostu nie była duża, przepuszczano więc wojsko nie całą kolumną, ale mniejszymi oddziałami. Czas przeprawy i oczekiwania na nią wydłużał się. Byliśmy zmęczone, więc położyliśmy się na mokrej szosie, jedna obok drugiej, a deszczycy na nas kropili. Było mi widocznie ciepło, bo we śnie znalazłam się w naszym domu na Dąbrowie, w pokoju sypialnym, który lampa przez różowy klosz wypełniała przytulnym światłem. Byłam tam z Mamą i było mi tak dobrze. Mama powiedziała, że zostanę w domu, że już mnie nie puści do wojska. Zdażyłam odpowiedzieć tylko, że ja muszę i usłyszałam głośne: „Pobudka!”. Powrót do rzeczywistości nie był przyjemny.

W Smoleńsku rozstawiono nas na ulicach i miałyśmy wskazywać wojskom kierunek marszu. Mój posterunek był w pobliżu jakiegoś placu, na którym stały jeszcze szubienice. Miasto było bombardowane. Bomby spadały raz bliżej, raz dalej i w świetle ich eksplozji i w łunach pożarów, ciągle mi się pokazywały te szubienice. To była ciężka noc i zapomnieć jej nie można.

Dywizja szła przez błota Smoleńszczyzny do miejsca, gdzie miała rozegrać się krwawa bitwa pod Lenino. Dwa plutony kompanii fizylierek posłano w pobliże pierwszej linii do służby wartowniczej. Poległy tam dwie nasze koleżanki: Aniela Krzywoń zginęła na miejscu, Lidka Karczewska została ciężko ranna i zmarła następnego dnia. Mój pluton ochraniał kwatermistrzostwo. Do nas tylko dochodziły odgłosy bitwy, ale i nad nami odbywały się walki powietrzne.

Zimę spędziliśmy w dużej wsi Bobyry. Stał tam sztab Dywizji. Wtedy dostałam służbowe przeniesienie do sztabu, na pisarza w kancelarii żywnościowej. Do moich obowiązków należało prowadzenie kartoteki żywnościowej i ewidencji zaprowiantowania oficerów.

Teraz służba była lżejsza. Skończyły się mordercze marsze, odtąd już zawsze miałam swoje miejsce w samochodzie ciężarowym. Zakwaterowanie w chatach, w ziemiankach albo w namiotach. Spanie wprawdzie zawsze na podłodze, ale już nie w lesie na gałęziach ściętych z drzew, na które kładłyśmy peleryny przeciwdeszczowe, a przykrywałyśmy się płaszcami. Koce mieli tylko oficerowie. Bywało, że rano budziłyśmy się przysypane śniegiem. W tym czasie Mama pisała do mnie: „Ciesz się, że nie jesteś głodna i jesteś ciepło ubrana, a tak się martwiłam, że marzniesz. Tylko mi Cię żal, że śpisz na podłodze i bez pościeli. Ty biedactwo, zdaje się, w Rosji nigdy łóżka nie będziesz miała, taka już Twoja dola. Ale to drobnostka, najważniejsze, żeś zdrowa i syta”. Mama dobrze wiedziała, pierwsze spanie w łóżku, w prawdziwej pościeli, zdarzyło mi się dopiero w Wesołej pod Warszawą.

Gdy byliśmy w Bobyrach, poinformowano nas o Katyniu, winę za tę straszną zbrodnię przypisując Niemcom. Nie mogłam w to uwierzyć. Rozumowałam w ten sposób, że przecież w 1941 roku wojska sowieckie w popłochu i rozsypce opuszczały te tereny. Było niemożliwe, ażeby polscy jeńcy nie wykorzystali takiej sytuacji i nie rozproszyli się, nie uciekli. Nie ja jedna miałam takie wątpliwości, ale nikt o tym głośno nie śmiał mówić. W lesie katyńskim nasz kapelan, ksiądz Kubszyński, odprawił mszę świętą, w uroczystościach uczestniczyły delegacje z 1 Dywizji. Po latach opowiadał mi mąż koleżanki, uczestnik tych uroczystości, że wówczas, gdy udało mu się nieco oddalić, natknął się na staruszkę, Rosjaninę, który mu szepnął: „Gdyby te drzewa umiały mówić, dużo by powiedziały”.

Ze Smoleńszczyzny przerzucono 1 Dywizję na Ukrainę. Miejscem postoju sztabu była Reja, duża, ładna wieś w pobliżu Berdyczowa. Bobyry żegnały nas śniegiem, Reja powitała rozwijającą się zielenią. Po dłuższym postoju, chyba kilkutygodniowym, wyruszyliśmy na Wołyń.

Krajobraz się zmienił, zrobił się swojski, polski. Jechałam wtedy w kabinie samochodu ciężarowego, siedziałam obok kierowcy. Był to młody chłopak, nazywał się Wiktor Grocholski, był studentem politechniki w Leningradzie. Rodowód miał polski, ale urodzony i wychowany w Związku Radzieckim, nigdy nie widział kraju swoich przodków. Chłonał polskie widoki, a najbardziej zwróciły jego uwagę i zafascynowały go kapliczki przydrożne, tak charakterystyczne dla naszego krajobrazu.

Pierwszym miastem na naszej trasie było Równe. Na ulicach gwarno, dużo ludzi, obserwowali nas z wielkim zainteresowaniem. Stałam przy samochodzie, gdy przechodzące obok dwie starsze panie zatrzymały się i jedna zawołała: „Popatrz, jaki biedny kapralina polski!”. Miałam już wtedy stopień kaprała, ale biednie chyba jeszcze nie wyglądałam. Moja malaria miała dopiero wkrótce sobie o mnie przypomnieć.

Następnym miastem był Łuck. Zatrzymaliśmy się na jakiejś ulicy. Z najbliższego domu wybiegła pani i zaprosiła mnie i

Oleńkę (Aleksandrę Andrusikiewicz), która wówczas już ze mną pracowała w sztabie, na placki z tartych ziemniaków. Trochę bałyśmy się przyjąć zaproszenie, bo nie wiedziałyśmy jak długo potrwa postój, ale pokusa była silniejsza. Cztery lata nie jadłyśmy takich placków. Placki były wspaniałe, prosto z patelni, chrupiące, smaczne, więc nic dziwnego, że zapomnieliśmy o upływającym czasie. Wreszcie najedzone, podziękowałyśmy za doskonały poczęstunek i wybiegłyśmy z gościnnego domu. Samochodów już nie było, stał tylko nasz, a przy nim bardzo zdenerwowany Wiktor. Nie wiedział gdzie nas szukać, więc niepokój jego wzrastał, bo miał świadomość, że jak się zawieruszymy, to mogą być kłopoty. Narazić się na oskarżenie o zamiar dezercji nie było trudno. Ale dogoniliśmy kolumnę i wszystko się dobrze skończyło.

Potem mineliśmy Kiwerce i zatrzymaliśmy się w dużej wsi Słowatyce. Wieś była zupełnie wyludniona. Dostałyśmy z Oleńką kwatery i kancelarię w ładnym, małym domku. W podwórzu była studnia, ale wody w niej nie było widać. Wreszcie zaczęli pokazywać się mieszkańcy wsi, do czego zachęcała ich i ośmieliła obecność polskich żołnierzy. Dowiedzieliśmy się wtedy, że właściciele naszego ładnego domku, Polacy, leżeli na dnie studni przywaleni ciężkimi kamieniami. Było to dzieło Ukraińców.

Kiedyś w towarzystwie kilku kolegów wybrałam się konno na przejażdżkę. Dojechaliśmy do dużej wsi, której nie było. W wiśniowych sadach stały drzewa gęsto obsypane dojrzałymi owocami, których nie miał kto zrywać, a z domów pozostały tylko osmolone kominy. Widok był niesamowity, przerażający. Ile nieszczęścia, ile tragedii polskich nagromadziło się na tych ziemiach.

Ze wsi Słowatyce przenieśliśmy się do pobliskich lasów. Zakwaterowanie najpierw w namiotach, potem saperzy wybudowali

piękne ziemianki. Wiosna była w rozkwicie. Był to chyba koniec maja, bo pamiętam doskonale, że właśnie kwitły bzy. I wtedy zaczęła mnie gnębić malaria.

Choroba wystąpiła z dużym nasileniem, a ja czułam się coraz gorzej. Traciłam siły. Leczył mnie lekarz ze sztabu Dywizji, dr Hoffman, ojciec obecnego reżysera filmowego, Jerzego Hoffmana. Temu lekarzowi zawdzięczam bardzo dużo. Z początku chciał odesłać mnie do szpitala, gdzieś w głębi Związku Radzieckiego. Bardzo się tego bałam. Bałam się, że gdy oderwę się od swoich, to zaginę gdzieś na bezmiernych obszarach Kraju Rad. Wszystko, tylko nie to! Dr Hoffman nie nalegał. Brałam chininę, ale źle ją znosiłam. Straciłam apetyt, chudłam, a najbardziej dokuczało mi ciągle dzwonięcie w uszach. W końcu przestałam stosować ją regularnie. Lekarz dowiedział się o tym i z jego polecenia przychodził do mnie felczer z lekarstwem i przy nim musiałam je połknąć. I tak było przez kilka miesięcy, w okresach kiedy choroba się nasilała. Dr Hoffman dawno nie żyje, a ja wdzięczność za jego troskę zawsze przechowuję w pamięci.

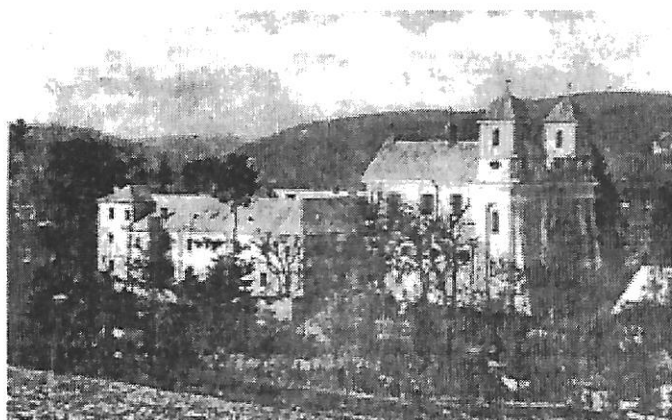
W chorobie nie mogłam nic jeść, moim marzeniem było tylko mleko. Były dwie krowy, które pędzono za wojskiem przez długi szlak Dywizji, ale mleko było przeznaczone wyłącznie dla dowództwa. Krowy doił kucharz sztabowy, p. Bronek. Po każdym udoju odlewał do garnuszka pół litra mleka, chował to pod biały fartuch, w którym stale chodził, przynosił mi i podawał ze słowami: – *Panno Ninko, niech pani to zaraz wypije.* – Robił to w tajemnicy. Gdyby się ktoś o tym dowiedział, p. Bronek miałby duże nieprzyjemności, a ja nie miałabym mleka. Pamięć o tym dobrym człowieku też przechowuję z wdzięcznością.

(c.d.n.)

Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży

Odpust w Niżniowie

Ks. Lesław Jeżowski



Kościół i klasztor w Niżniowie

Maj w Tłumaczu bywał piękny. Bujnie zieleniły się drzewa i krzewy w licznych ogrodach przy domach mieszkalnych, sady naciągały na siebie białe nakrycie utkane z kwiatów, wszędzie pachniało czeremchą, bzem, jabłoniemi. Lubilem w majowe ranki iść do kościoła na Mszę św. Towarzyszyły mi w drodze melodie pieśni maryjnych, które na wieży grał moi szkolni koledzy należący do orkiestry dętej. Domy były przeważnie jeszcze pozamykane, na ulicach tylko nieliczni przechodnie, swobody wiosennych powiewów nic nie kępowało.

Majowe wieczory wzbogacało nabożeństwo maryjne, które gromadziło w kościele przeważnie młodzież. Po jego zakończeniu nie wszyscy wracali do domów. Wielu przyciągał park, jego ciemne aleje z ławkami, na których można było rozmawiać, żartować, śmiać się do woli. Wśród drzew latały chrabąszcze, rozlegał się śpiew ptaków, wieczór z wolna zamieniał się w noc.

Do wyjątkowych dla mnie tłumackich, majowych dni należał ósmy tego miesiąca, czczący św. Stanisława biskupa. Odbýwał się wtedy odpust w Niżniowie, na który zwykle wyjeżdżali księży tłumaccy. Co najmniej dwa razy wzięli mnie ze sobą. Pogoda lubiła dopisywać, darząc nas słońcem od rana. Jechało się do Niżniowa końmi. Raz wypożyczał je skądś ks. Tabaczkowski, tłumacki proboszcz, i zaprzęgał do swojego sfatygowanego powozu, kiedy indziej wynajmował jedyne w mieście fiakra, Żyda Zysia, i on nas wiozł mocno wysłużonym wehikułem na odpust. Obok ks. Tabaczkowskiego zasiadał na tylnym siedzeniu ks. Witkowski, katecheta gimnazjalny, mnie przypadło miejsce na składanej ławeczce naprzeciw nich, albo na koźle obok woźnicy.

Jechaliśmy ulicą Słowackiego, przy której mieszkałem, przy jej końcu skręcaliśmy w prawo na drogę prowadzącą do Łokutek. Właśnie w tym miejscu, wśród drzew sadu i żywopłotów znajdowało się domostwo Śniechowskich, z którego pochodziło kilku moich starszych kolegów. W jego pobliżu był nowy cmentarz żydowski. Za nim, ze wzgórza na które wiodła droga, widniało w kierunku północnym rozciągające się szeroko wzniesienie zapoczątkowujące wyżynę

Podola. Poniżej leżały Łokutki, mała, ruska wieś, zaniedbana i brudna. Niemal na wszystkich chatach słomiane strzechy, studnie z żurawiem w obejściach. Pieszko można było iść do Niżniowa ścieżką, która od Łokutek skracała drogę, przebiegając obok kamieniołomu, ale końmi musiało się jechać zakolem, aby znaleźć się nad zwałami białych, wapiennych kamieni. W pewnej odległości za wsią przejeżdżało się mostkiem nad stumykiem, który wypływał ze skalistej jaskini. Ona zawsze mnie frapowała. Aby do niej wejść, trzeba było bardzo nisko się pochylić. Wnętrze rozświetlone u góry jakimś pęknięciem, swoją szczupłością utrudniało swobodne poruszanie się w nim. Pewnego razu postanowiłem wybrać się tam z kolegami i zbadać dokładnie tę jaskinię. Dotrzeć do jej dalszych części. Może dokonamy w nich jakichś ciekawych odkryć? Może znajdziemy coś interesującego? Swoich ambitnych zamiarów nie mogliśmy jednak zrealizować. Strzelina widniejąca w tylnej ścianie jaskini była tak wąska, że ledwie rękę udawało się w nią wetknąć. Błoto pod nogami więziło kroki. Nie znaleźliśmy żadnych możliwości dotarcia głębiej niż wszyscy inni, wcześniejsi od nas ciekawscy. Właśnie tę jaskinię mijaliśmy teraz, zdążając do Niżniowa.

Nad kamieniołomem, w stronę celu naszej podróży, rozpoczynał się las. Zanim wjechaliśmy między jego drzewa, patrzyliśmy wszyscy za siebie, na południe, gdzie widniał leżący w dole Tłumacz. Stąd miasteczko wyglądało niemal okazale. Wydawało się większe, dłuższe niż w rzeczywistości. Las pachniał świeżością wiosennego ranka. Zieleń liści była jasna, jakby przezroczysta. Słońce odbijało się w pozostałych tu i tam kropkach rosy. Wśród trawy kwitły leśne kwiaty. Przy końcu lasu spotkaliśmy grupę dzieci i dwie zakonnice. To tłumackie Służebniczki szły ze swoimi podopiecznymi z ochronki do Niżniowa, również na odpust. Ks. Tabaczkowski, który swego czasu powołał do istnienia ochronkę dla sierot, zachęcał dzieci, aby weszły do powozu i jechały dalej razem z nami. Dzieciom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Obklepiły cały pojazd i utrudniały poruszanie się naprzód. Dopiero na wyraźne polecenie woźnicy i ks. Witkowskiego zeszły na ziemię i dołączyły do swoich rówieśników. Wkrótce zostały w tyle za nami.

A my, po opuszczeniu lasu, zobaczyliśmy po lewej stronie, w pewnym oddaleniu, zabudowania SS. Józefitek w Zagórzcu Polskim. Jak nazwa wskazuje, to osiedle zamieszkiwali sami Polacy. Zakonnice przybyły tu niedawno. W domu otwały kaplicę dostępną dla wszystkich, prowadziły szkołę jednoklasową i przedszkole.

Najbliższą wsią za Zagórzem był Bratyszów. Posiadał cerkiew, urząd gminny, sporo domów. A za Bratyszowem – już Niżniów. Zjeżdżało się do niego w dół, w szeroki jar zalesiony po jednej stronie. Na zboczu przeciwnego wzgórza, wśród drzew stała okazała leśniczówka, z daleka wyglądająca jak zameczek myśliwski. A przed nami, z pól wyłaniały się dwie białe, przysadziste wieże kościelne, pokryte czterospadowymi dachami. To był cel naszej podróży. Niżniowski kościół parafialny, w którym dzisiaj odbywał się odpust.

W miarę zbliżania się do niego napotykalismy coraz więcej ludzi odświętnie ubranych. Wszyscy szli na sumę. Widywało się niektóre kobiety jak siadały przy drodze i dopiero teraz wciągały na nogi obuwie. Może z oszczędności, a może dlatego, że wygodniej im było iść z daleka boso.

Nasz powóz zajechał na podwórze plebanii, na którym stały już inne pojazdy. Przeważnie okolicznych księży. Przy-

jechali na odpust, ale też na imieniny miejscowego proboszcza, ks. Stanisława Cichockiego. Plebania niżniowska przypominała dostatni dwór ziemiański. Przed nią lekko opadał w dół duży ogród otoczony żywopłotem, do którego z werandy o drewnianych słupach i takichże dekoracjach prowadziły szerokie schody. Pokoje mieszkalne były rozmieszczone symetrycznie po obydwóch stronach jadalni ze wspomnianą werandą. Przy budynku rosły okazałe drzewa. Za plebanią znajdowało się podwórze gospodarcze, gdzie dzisiaj zatrzymały się zaprzęgi przybyłych gości.

Obydwaj tłumaccy księża poszli na plebanie, ja wymówiłem się od towarzyszenia im, bo wolałem dłużej pobyc w kościele, a zwłaszcza w przylegającym do niego klasztorze. Wielka fasada kościoła, jego wieże sugerowały, że również wewnątrz jest proporcjonalnych do nich rozmiarów. Tymczasem ono było małe, a przede wszystkim krótkie. Wejście od głównego ołtarza oddzielała niewielka przestrzeń. Byłem tu niejednokrotnie, ale w dniu odpustu kościół wyglądał inaczej niż zwykle. Odświętnie i radośnie. Ozdobiony ołtarz z dużym obrazem św. Stanisława wskrzeszającego Piotrowina, festony i girlandy między filarami, wszędzie mnóstwo kwiatów i zapachów.

Opuściłem kościół, który wypełniał się ludźmi i poszedłem do klasztoru. Tak, jak kościół, miał białe tynki, był jednopiętrowy, zbudowany w czworobok, którego jedną ścianę stanowiła apsyda kościelna. Cały obiekt służył niegdyś Paulinom. Po ich kasacie za zaborczych czasów józefińskich przeszedł na własność państwa, od którego kupili budynek Urbańscy, dziedzice niżniowscy. Ci z kolei odstąpili go Niepokalanom za symboliczną, dzierżawną złotówkę. Zakonnice otworzyły tu żeńską szkołę powszechną wraz z internatem.

Aby dostać się do klasztoru, trzeba było przejść kilka metrów betonowym chodnikiem prowadzącym przez ogród od furty w murze ogrodzeniowym. Ta furta pozostawała stale zamknięta. Zwisiał przy niej gruby drut, za który należało pociągnąć, a wtedy rozlegał się dzwonek w klasztorze. Za chwilę przychodziła zakonnica, otwierała bramę i pytała czego sobie życzy stojący przed nią. Gdy mnie o to zapytała, powiedziałem, że chciałbym pójść do kaplicy. Otrzymałem zezwolenie, wszedłem za mur, a zakonnica zamknęła za mną furtę. Znalazłem się w innym świecie, który o wiele więcej podobał się mi, niż ten, który zostawiłem za murem. Przede wszystkim zachwycił mnie widok, na który patrzyłem, idąc chodnikiem. Na prawo kwiatowo-warzywny ogród dosyć stromo opadał na dół i odsłaniał panoramę zalesionego zbocza z leśniczówką, którą było widać wcześniej jadąc z Bratyszowa. W Tłumaczu do lasu miałem dosyć daleko. A i ten, który rósł tam na Kahawie, nie mógł się równać z tym niżniowskim. W okolicy Tłumacza rozciągały się lasy liściaste, naprzeciw klasztoru widziałem teraz, piękniejsze dla mnie, drzewa szpilkowe. Gdzieś między ogrodem klasztornym a przeciwną górą z leśniczówką biegła całkiem w dole niewidoczna stąd szosa łącząca Stanisławów z Buczaczem i Czortkowem. Naprzeciw siebie miałem aleje, dokąd w dalszym swoim ciągu, minawszy klasztor, wiódł chodnik, na którym się znajdowałem. Po lewej stronie pośrodku klombu i krzewów stała figura Serca Pana Jezusa, za nią i za drzewami boczna ściana prezbiterium kościoła. Jej przedłużenie stanowił budynek klasztorny, do którego się zbliżałem.

Wchodziło się do niego przez bramę wprowadzającą w obszerną, przeszkloną po drugiej stronie sień czy też hall.

Stamtąd, korytarzem na prawo, docierało się do wąskiego oratorium kończącego się otwarciem na ołtarz kaplicy klasztornej. Kaplica była zarezerwowana dla Sióstr i ich wychowanek. Przybysze z zewnątrz korzystali z oratorium. W porównaniu ze znaną mi dobrze kaplicą Niepokalanek w Białym Klasztorze w Nowym Sączu, ta niżniowska była o wiele mniejsza, niższa i ciemniejsza. Oświetlało ją duże okno w ścianie naprzeciw ołtarza. Pod tym oknem stało fis-harmonium. Ołtarz nie posiadał nastawy tylko samą mense, nad którą widniał ukośnie zawieszony duży obraz Matki Bożej Niepokalanej w szerokich, złożonych ramach. Siedzenia dla Sióstr ciągnęły się wzdłuż obydwóch bocznych ścian kaplicy, dzieci miały ławki w jej środku.

Siostra furtianka opuściła mnie w hallu i przeszła we-wnętrznym, małym dziedzińcem klasztornego czworoboku do innego skrzydła budynku. A ja w oratorium zostałem sam. W jego ciszy mogłem się swobodnie modlić i oddać medytacji. Gdzieś miarowo tykał zegar.

Za jakiś czas wyszedłem na zewnątrz klasztoru. Znalazłem się znowu na betonowym chodniku. Skręciłem w lewo, aby wejść w aleję. Doprowadziła mnie ona do grobowca zakonnego, znajdującego się na końcu ogrodu. Grobowiec posiadał kilka poziomów, na każdym z nich w zamurowanych wnękach spoczywały trumny zmarłych Sióstr. Nie wyczuwałem tu jakiegoś cmentarnego smutku. Wprost przeciwnie. Jakże tutaj było spokojnie, pogodnie, wręcz radośnie. Jakby z martwych zakonnic emanowały zadowolenie z dobrze przeżytych ziemskich lat, wesele z osiągnięcia niebieskiej nagrody. Grobowiec swoiście zespalał się z klasztorem, szkołą, kościołem, z ludźmi żyjącymi i działającymi w nich. Nie był czymś oderwanym, obcym w tym środowisku. Życzyłem spoczywającym tu zakonnicom światła wiekuistego.

Moje duchowe wzloty przerwały dwie Siostry, które aleją podeszły właśnie do grobowca. Zapytały mnie ostro skąd się tu wzięłem i co tutaj robię? Trochę przestraszony wyjaśniłem im wszystko. Otrzymałem pouczenie, że ludziom świeckim, a więc również takim chłopcom jak ja, nie wolno chodzić po ogrodzie. Musiałem odejść. Ale nie spieszyłem się. Jeszcze raz patrzyłem na piękne drzewa alei, na rozkwitłe krzewy i barwne kwiaty, na lesiste góry, na klasztor skąpany w słońcu i chciałem tak patrzeć jak najdłużej. Doszedłem do zamkniętej furty. Znowu zadzwoniłem. Wnet przyszła furtianka i wypuściła mnie. Ostatnim, tęsknym spojrzeniem objąłem klasztorny świat, który się za mną zamykał.

Z kościoła rozbrzmiewały organy i śpiewy. Wcisnąłem się do jego wnętrza. Wnet rozpoczęła się odpustowa suma. Odprawiał ją jakiś nie znajomy mi ksiądz w asyście diakona i subdiakona. Kazanie wygłosił Jezuita ze Stanisławowa. Pilnie słuchałem jego słów. Pragnąłem wszystko zrozumieć i zapamiętać. Rosły we mnie uznanie i cześć dla świętego patrona Polski. Zwłaszcza gdy kaznodzieja powiedział, że On jest dzisiaj w sposób szczególny wśród nas. Jest jednym z uczestników uroczystości odpustowej, ale pierwszym i najgodniejszym. Toteż obraz ołtarzowy, na który patrzyłem, przestawał być dla mnie tylko płótnem pokrytym farbą, a zamieniał się w uobecnienie św. Stanisława.

Zgromadzeni w kościele nabożnie uczestniczyli w Mszy św. Modlili się z książeczek, na różańcach, szeptali jakieś własne pacierze, głośno śpiewali. W pierwszych ławkach siedziały zakonnice z Zagórza Polskiego, Służebniczki z Tłumacza i tzw. zafurtowe Siostry z niepokalańskiego klasztoru w Niżniowie, noszące czarne habity. W oszko-

nych łóżach znajdujących się u góry prezbiterium po obydwóch stronach wielkiego ołtarza widziałem białe Niepokalaniki. Wyglądały nieziemsko, jakby anioły przybyłe z zaświatów, które unosiły się nad rozmodlonym tłumem. W konfesjonatach spowiadali księża. Inni kapłani słuchali spowiedzi na zewnątrz kościoła. Penitentów nie brakowało. Komunię św. rozdzielano długo.

Po Mszy św. odbyła się procesja przed kościołem. Ruszyły w niej wszystkie chorągwie kościelne, feretrony, świece trzymane przez mężczyzn, kobiety i dziewczęta. Wszyscy przystroili się odpowiednio do pełnionych funkcji. Przy okazji procesji odbywał się jakby przegląd ubiorów częściowo ludowych, częściowo miejskich. Ministranci z zapalem potrzaskali dzwonekami, z kadzielnic wydobywał się wonny dym. Wszystkie zmysły ludzkie doznawały wrażeń. Błogosławieństwo sakramentalne we wnętrzu kościoła zakończyło procesję i uroczystą część odpustu. Wieczorem miały się odbyć nieszpory gromadzące przeważnie miejscowych parafian.

Księża, zdjawszy szaty liturgiczne bądź komże, szli na plebanie. Świeccy wracali do swoich domów i do pobliskich wsi, zatrzymując się przy odpustowych kramach. Podeszedłem i ja do nich. Czego tam nie było?! Obrazy i figury Pana Jezusa i świętych, książeczki do nabożeństwa, różańce, szkaplerze. Rozmaite świecidełka do umieszczania w domu lub na sobie, lepiące się cukierki bez opakowań, jakieś ciastka przypominające wyschnięty krochmal, kiszzone ogórki w beczce, kolorowe napoje itd. Nie brakowało prymitywnych zabawek dla dzieci jak blaszanych kogucików na rurkach, w które gdy się dmuchało piszczały przeraźliwie, zwiniętych papierowych węży, wyprostowujących się też pod wpływem dmuchania, drewnianych wózków, koni, lalek, piórników. Na stołach leżały zadrukowane karty papieru z podwórzowymi balladami o ofiarach uwodzicieli, morderców, o niezwykłych historiach z życia sfer wyższych, a i niższych. Obok kramu jakiś podejrzanie wyglądający mężczyzna wykonywał zdartym głosem jedną z nich.

Kramy odpustowe robiły przykre wrażenie, ale za to jakie miały piękne zaplecze! Ścianę ciemnych świerków. Pachniało od nich żywicą. Drzewa te odgraniczały drogę, która od kościoła i klasztoru schodziła w dół do szosy, od parku należącego do Urbańskich. Park – to może za ładnie powiedziane. W rzeczywistości za świerkami okalającymi przykościelny plac rosły po prostu inne, już nie uszeregowane ale też świerki, i pokrywały całe zbocze, u którego dołu stał dwór Urbańskich. Przypominał on trochę swoim wyglądem zewnętrznym niżniowską plebanie. Stąd, z góry, widać było białą świecącą między drzewami jego tylnią ścianę.

Cienistą drogą prowadzącą z kościoła zszedłem do szosy. Gdybym wiedział, że obiad, na który poszli księża, przeciągnie się, byłbym poszedł do miasteczka. Chociaż od przechadzki odstręczał mnie kurz unoszący się nad odjeżdżającymi wozami Niżniów poznałem wcześniej. Niczego szczególnego w nim nie było. Jego atrakcją dla tłumaczan stanowił tylko Dniestr i dwa mosty, kolejowy i kołowy, przerzucone nad tą rzeką. Popatrzyłem w jej stronę, na jar, którym toczyła swe wody i żałowałem, że to dopiero początek maja. Za wcześniej na kąpiel.

Zawróciłem. Znowu coś ciągnęło mnie do kościoła, a przede wszystkim do klasztoru. Idąc pod górę wdychałem głęboko woń świerków. W Tłumaczu one nie rosły. Zapach tych drzew kojarzył mi się z wakacjami, które zawsze spędzałem w lesistych Karpatach. Za niespełna dwa miesiące znowu tam pojadę. Jak to dobrze.

Doszedłem do furty. Pociągnąłbym jeszcze raz za drut, ale zdawałem sobie sprawę, że zakonnica, która by mi otworzyła, podejrzliwie przyjąłaby moje powtórne przybycie. Lepiej było pozostać po tej stronie muru. Czy ten placyk nie jest też piękny? Ze swoimi wysokimi świerkami, żywopłotem plebańskiego ogrodu, frontonem kościoła, trawą pod nogami? Gdybym mógł, przeniósłbym ten urokliwy zakątek do Tłumacza i przychodziłbym do niego codziennie.

W kościele nie było już prawie nikogo. Pozostał zapach kadzidła, jedliny, kwiatów. Usiadłem w ławce i w ciszy rozmawiałem bez słów ze św. Stanisławem i jego Panem. Tłumacki kościół lubiłem, chodziłem do niego często, ale ten niżniowski wydawał mi się teraz jakiś dostojniejszy, uroczystszy. Może dlatego, że był znacznie starszy od tłumackiego? A może spowodowały to długoletnie modlitwy Paulinów niewidocznie ukryte w murach kościelnych?

Z plebanii goście już wychodzili. Dotarłem do próżniejszej jadalni. Księża Tabaczkowski i Witkowski stali obok stołu i rozmawiali z miejscowym proboszczem. Trochę niepokoił się moją dłuższą nieobecnością. Zaproszono mnie, abym coś zjadł. Poprzestałem na ciastkach i herbacie. Wnet znaleźliśmy się na podwórzu przy naszym pojeździe. Ruszyliśmy do Tłumacza tą samą drogą, którą przyjechaliśmy tutaj. Jadąc wzdłuż budynku klasztoru, zauważyłem w jednym oknie lampę naftową z białą, porcelanową umbrą. Widocznie elektryczność jeszcze tam nie dotarła. Tłumacz był pod tym względem bardziej ucywilizowany. Okno znajdowało się w mieszkaniu ks. kapelana Niepokalanek. Podczas każdego swego pobytu w Niżniowie nie widziałem go ani w kościele, ani w klasztorze.

Wyprzedzaliśmy pieszych, którzy, nie spiesząc się, wracali z odpustu. Niektóre kobiety znowu zajmowały się swoim obuwem. Rano, idąc do kościoła, wzuwały je, teraz ściągaly. Dzieci też oddawały się temu zajęciu. Na ich szyjach szeleściły różańce sporządzone z kolorowego, wyschniętego ciasta, poprzątkane marszczoną bibułą. Gdzieś strzelano z pukawek.

Znowu przejeżdżaliśmy przez Bratyszów. Później zobaczyliśmy zabudowania Józefitek w Zagórze. Ks. Tabaczkowski chciał odwiedzić zakonnice. Zobaczywszy w oddali powóz z księżmi, Siostry wyszły nam na przeciw. Ucieszyły się przybyciem gości. Wprowadziły nas do kaplicy urządzonej w dużym pokoju z osobnym wejściem. Jej wyposażenie przedstawiało się skromnie. Na ścianie ołtarzowej wisiał z boku obraz św. Antoniego, który ufundowała moja Mama, przyjaciółka i dobrodziejka tutejszych zakonnic.

W pobliżu kaplicy znajdował się pokój przeznaczony dla księdza kapelana. Siostry spodziewały się, że go kiedyś otrzymają. Czekają na niego łóżko białe zaścielone, chodnik na podłodze z niemalowanych desek, po którym by chodził, stół nakryty wzorzystą serwetą, krzesła, klęcznik, obrazy, kwiaty. Przez otwarte okno przesłonięte muślinową firanką wpływał świeży powiew z zewnątrz. Wszędzie czystość, schludnie. Ks. Witkowski zażartował, że może ja zajmę kiedyś ten pokój. Odpowiedziałem śmiechem, ale w głębi duszy nic nie miałbym przeciw temu. Podobało mi się tutaj. Zakonnice proponowały ks. Witkowskiemu, aby spędzał u nich swoje wolne dni, a nawet urlopy, ale nie zauważyłem u niego zainteresowania tą propozycją.

Towarzyszyły nam przełożona i siostra ucząca w szkole. Słyszałem od swojej ciotki, też nauczycielki, że była dobrą, uzdolnioną wychowawczynią, rzeczowo wypowiadającą się na rejonowych konferencjach pedagogicznych. Jej lekcje pokazowe miały być wzorowe. Siostry zaprowadziły nas do salki lekcyjnej, stosunkowo dobrze urządzonej. W tej jednej klasie gromadziły się sukcesywnie dzieci z Zagórze, a może i z pobliskich osiedli na naukę szkolną i zajęcia przedszkolne. I ona, jak wszystkie tutejsze pomieszczenia, była bardzo jasna.

Siostra przełożona przymusiła nas, abyśmy spożyli w jadalni przygotowany tymczasem podwieczorek. Księża czynili to z oporami. Ja – nie, bo zawsze smakowało mi jedzenie w domach zakonnych. Smaczne i estetycznie podane.

Przed odjazdem rzuciliśmy okiem na budynki gospodarcze w podwórzu. Siostry trzymały w nich również żywy inwentarz. Przez jedne wierzaje widniały narzędzia i urządzenia rolnicze. Przy pożegnaniu zakonnice prosiły, aby nie zapominać o nich i znowu zaglądnąć do Zagórze. Księża wymawiali się zajęciami, odległością, a ja dziwiłem się, że nie zapowiadają swojego ponownego, rychłego przybycia. Ja bym to uczynił bez wahania. Przecież te siostry spełniają ważną pracę dla Kościoła i Polski, nie mają możliwości jakiegos odprężenia się, rozrywki. Odwiedziny znajomych, przyjacielska rozmowa są ich niemal jedyną, ziemską radością. Dlaczego skąpić jej?

Zanim, usadowieni w powozie, oddaliliśmy się całkiem od zakonnego domu, pokiwaliliśmy jeszcze rękami siostrze, które stały przed nim. W lesie pomiędzy Zagórzem a Łokutkami jakoś inaczej pachniało niż rano. Mniej wyczuwało się kwietnej woni, a więcej zapachu młodego listowia. Pokazał się dole Tłumacz. Kończyła się nasza odpustowa podróż. Zrobiło mi się smutno. □

Wiadomości z życia tłumaczan

Przeżyjmy to jeszcze raz (c.d.)

Spotkania i zjazdy Tłumaczan 1945 – 1995

Janina Petrus-Duszyńska

2-10 sierpnia 1991 roku
TŁUMACZ!!!

Wymarzona, długo oczekiwana wycieczka do Tłumacza, na którą zaproszenie otrzymaliśmy od tamtejszego mera, p. Greszczuka, zbiegła się w czasie z obchodami 775-lecia

uzyskania praw miejskich przez tę kolebkę naszej młodości. Ogromnie dużo wysiłku i inwencji w zorganizowanie wycieczki i jej znakomity przebieg włożyli: Danuta Tabińska-Juhasz, Jerzy Czyżycki, Czesława Koczwara-Kałuża i Jan Johnson.

W tym niezapomnianym wydarzeniu udział wzięły 42 osoby: Danuta Tabińska-Juhasz, Jerzy Czyżycki z zięciem, państwo Cichoniowie, Anna Panachida-Bocheńska, Józefa Panachida-Skowron z synem, Jan Johnson, Gierlicka-Góral, Zygmunt Burczyński, Bolesław Petrus, Zdzisław Kłonowski, Józefa Laner, Roma Lityńska-Króliczek, Włodzimierz



Uczestnicy wycieczki pod drogowskazem „Tłumacz” – przed stawem

Wysoczański z bratem, Józef Czohara, Zygmunt Guszpíd, Irena Pełech-Ruszel, Lidia Dołhańczuk-Dasiewicz, Michał Dasiewicz, Helena Petrus-Biedka z mężem, Janina Petrus-Duszyńska z mężem, Czesława Koczwara-Kałuza, Kazimiera Żygłłowicz, Woroszczuk, Emilia Śniechowska-Bilut, Jerzy Zabojski, Helenka Maleszewska-Zabojska, Sławek Zabojski, Maria Sapa, Władysław Gerula z synem i synową, Helena Dewant, Rysia Czaplińska-Jankowska.

Pobyt w Tłumaczu był dla wszystkich źródłem wielu szczególnych wzruszeń i niezapomnianych przeżyć, był to bowiem powrót po 46 latach do „kraju dzieciństwa”. „Tak chciałoby się wykrzyknąć radość, zapisać w sercu każdy znak i zieleń łąk i lasów ciszę, ale czy serce to zapisze?” napisała jedna z uczestniczek wycieczki – Czesława Koczwara-Kałuza. Wyprawa nasza rozpoczęła się we Wrocławiu skąd wyruszył autokar z Tłumaczanami mieszkającymi w południowo-zachodniej Polsce. Jadąc do Przemyśla zabierał po drodze pozostałych uczestników z innych stron kraju.

Pierwszy przystanek po drugiej stronie granicy miał miejsce w Samborze, starym polskim, 600-letnim grodzie, który w czasie okupacji przeżywał wyjątkowo okrutne chwile. Dokonywane na Polakach zbrodnie wielu wypędziły z miasta i zmusiły do zamieszkania m.in. w Krakowie i we Wrocławiu. Część jednak pozostała. Mieszka ich tu obecnie dosyć dużo, stanowiąc silny ośrodek kultury polskiej. Podczas zwiedzania samborskiego kościoła zbudowanego w 1530 roku, zostaliśmy powitani na jego schodach przez mieszkankę Sambora, w naszym pięknym polskim kresowym języku. Na murze kościoła zobaczyliśmy żelazny krążek z orłem w koronie i napisem „Matko Niepokalana przyczyń się za nami”. Widzieliśmy także przepiękny dawny klasztor, który przetrwał za cenę przemianowania go na salę koncertową muzyki organowej. Przy usytuowanej nieopodal cerkwi prawosławnej kilkanaście osób czekało na ślub. Tam też, poprawną polszczyzną poinformowano nas o zadawnionym konflikcie pomiędzy cerkwią prawosławną a kościołem grecko-katolickim.

Po krótkim pobycie w Samborze wyruszyliśmy do Drohobycza. Kiedy przejeżdżaliśmy przez most na Dniestrze, ktoś zarecytował: „To błyszczy Dniestr, tam jutrzeńka wschodzi”. Tłumaczanie byli odurzeni pięknem dawno nie widzianego krajobrazu. Wielu go oglądało stojąc, a co widzieli, to opisały Czesia Koczwara-Kałuza i Kazimiera Żygłłowicz: „... przedwojenne chaty kryte dachówką, eternitem i blachą, która może pamięta 1939 rok. Liściaste gęste zagajniki z wychodzącymi brzoźami i jarzębinami. Rozległe pagórkowate łąki i pasące się czarno-białe krowy, a czasem gromadki gęsi. A tu znowu male chatynki z malwami w ogródkach. Na łące stadko kóz. Za mostem przepiękna do-

lina okolona lasem. Dominują tu smreki i modrzewie. Wysokie, pokryte zielenią połoniny, zielone ogrody, dużo akacji. Na szczycie pagórka odnowiona kapliczka”.

Zachwycając się pięknym krajobrazem, dojechaliśmy do Drohobycza, miasta, które wyrosło i rozwinęło się na handlu solą potasową. Zwiedziliśmy tam piękny stary kościół pod wezwaniem Św. Bartłomieja, ufundowany przez Króla Jagiełłę w 1392 roku. Król często bywał na plebanii tego kościoła, który kiedyś leżał na obrzeżach miasta we wsi Dobrowlany, a dziś stanowi centrum Drohobycza. Po licznych perypetiach w latach wojny i zmian, które po niej nastąpiły, kościół ten ponownie poświęcono i oddano do użytku wiernym w 1989 roku.

Oprowadzający nas kościelny poinformował, że w kościele tym 15 sierpnia w dniu Matki Boskiej Zielnej, odbędzie się odpust i mają przyjechać wycieczki z Polski. Kiedy weszliśmy na chór, Józefa Laner – córka organisty z Tłumacza – zagrała na organach, a my, zapatrzeni w ołtarz, śpiewaliśmy „Boże coś Polskę”. Łzy cisnęły się do oczu i płynęły po policzkach, spadając na drewnianą podłogę, gdzie w kąciku leżały figurki świętych, czekające na renowację.

Z Drohobycza udaliśmy się do Borysławia, miasta, w którym urodziło się dwoje Tłumaczan – Irena Pełech i Zygmunt Guszpíd. Irka, obserwując mijany krajobraz, miała łzy w oczach i coś tam smętnie nuciła.

Potem przejeżdżaliśmy obok rafinerii nafty „Polwin”. Wkoło czuliśmy zapach nafty, czyli tak zwane gazy doszowieckie.

Przed nami Borysław. Irena Pełech-Ruszel i Zygmunt Guszpíd próbowali ustalić, kto gdzie mieszkał: Wolanka Dolna czy Wolanka Górna. Wjeżdżaliśmy do miasta ulicą Adama Mickiewicza. Kamieniczki zniszczone, nikt niczego nie odnawia. Ogrody zarośnięte, zaniedbane, a w dali widać nowe bloki czteropiętrowe. Na prawo Pogórze Karpackie. Przejeżdżamy przez wysokopienny las. Irena i Zygmunt śpiewają piosenki żydowskie. „Aj-waj-bum” rozbrzmiewało w autobusie. Wsiadamy. Z kubkami, butelkami, termosami maszerujemy błotnistą ścieżką, która prowadzi do źródła „Naftusia”. Napełniamy swoje naczynia i pijemy bohatersko te naftusiove obrzydliwości.

Rozprostowawszy trochę kości wyruszyliśmy do Stryja, miasta nieciekawego ale czystego. Dużo drzew. Charakterystyczne domy polskie kryte blachą. Szerokim rozlewiskiem płyną wody rzeki Stryja. Po prawej stronie Horodyszcz, tuż obok druga rzeka, Stricza. Przepiękny krajobraz, niepowtarzalny. Góry cofają się. Autokar mknie po opadającej i wznoszącej się szosie. Wśród zielonych łąk, rozlanych moczarów, płonie pomarańczowa pochodnia. To płonie gaz. Wokół porozrzucane metalowe konstrukcje, które sprawiają

dziwne wrażenie – ich ruchy przypominają ukłony. Śmiejemy się, że Dolina wita ukłonami.

Dojeżdżamy do Kałusza. Wszyscy już senni, zmęczeni. Mijamy schludne miasteczko Bolechów. Oklaskami witamy słup z napisem „Iwano-Frankowsk” i wjeżdżamy w nasze ukocone Stanisławowskie. Z lewej strony wije się wśród łąk Stryj. Przejeżdżamy przez rzekę Górzankę. W dali góry porośnięte przepięknymi grabami, z lewej rozlane torfowiska. Wieś Jedenice. Do roku 1939 woj. stanisławowskie zaopatrywane było w sól, którą warzono w Kałuszu i w Dolinie. Z obu stron szmaragdowe łąki. Na prawo, aż po horyzont, rosochate wierzby. Gdzieś tam pasie się bydło. Nieprawdopodobny pejzaż, jak z bajki. Wśród drzew widnieją drewniane cerkwie. Na szybach krople deszczu, wokoło gęsta mgła, spoza której wynurza się przepiękny krajobraz. Przed nami Stanisławów. Niebo przejaśniało, lasy pokryte błękitnymi oparami, przed domami stogi siana. W przydomowych ogrodach drzewa owocowe i kwiaty, dużo malw. Mijamy mniejsze i większe cerkwie oplecione rusztowaniami. Na drogowskazie: Tyśmienica, Kłubowce. Serce ściska jakieś dziwne uczucie, łączy radości – wjeżdżamy do Tłumacza!!! Jest godzina 20, serdeczne powitanie przez pana Greszczuka mera Miasta Tłumacza.

Umęczeni, ale szczęśliwi rozlokowaliśmy się w pokojach na piątym piętrze w „urlożytku”. Na zmęczonych wędrowców czekały tam czyste, urządzone ładnie na ludowo, pokoje.

Po przespanej nocy, ponieważ była to niedziela, postanowiliśmy pójść do cerkwi greko-katolickiej; nasz kościół katolicki został zburzony. To, co nas niebawem spotkało opisała w swym liście Roma Króliczek: „U bram cerkwi zgromadziła się okoliczna ludność ze świętymi ikonami, sztandarami, młodzież z kwiatami, myślałam, że to jakaś procesja, ale okazało się, że to na nasze powitanie. Nastąpiły łązy, łązy radości, uściski i pocałunki, wręczenie kwiatów i wśród bicia dzwonów zostaliśmy przez mieszkańców Tłumacza wprowadzeni do cerkwi, gdzie uczestniczyliśmy w dwugodzinnej mszy św. To, co czułam i co przeżyłam trudno opisać. Wstyd mi się przyznać jako katoliczce i chrześcijance ale w długim swoim życiu nie modliłam się tak gorąco i szczerze, nie czułam tak blisko obecności Pana Boga, jak tam, w tej cerkwi w Tłumaczu. Warto było jechać choćby tylko po to, żeby przeżyć cudowny stan duszy, czuć blisko i prawdziwie Pana Boga”.

Po mszy św. wyszliśmy na ulice naszego kochanego miasta i zatrzymywani przez mieszkańców, odpowiadaliśmy na interesujące ich pytania, między innymi o dawne, znajome im rodziny tłumackie.

Myśli i uczucia skierowane były jednak przede wszystkim ku naszym nieżyjącym już bliskim, leżącym na tamtejszym cmentarzu. Tam więc skierowaliśmy nasze kroki. Pomimo, że mieszkańcy przed naszym przyjazdem powycinali największe dzikie krzewy, stan cmentarza wywarł na nas przynębiające wrażenie. Mało kto odnalazł groby swoich przodków. W gąszczu dzikich zarośli oraz nowych grobów miejscowej ludności, rozpoznać można było jedynie groby najbardziej znanych rodzin tłumackich, usytuowane w alei przy zachowanej jeszcze kapliczce. Tam więc zapaliliśmy znicze, modląc się za spokój dusz naszych zmarłych.

O przeżyciach tego kilkudniowego pobytu w naszym Tłumaczu, tak pisały Czesia i Kazia: „Jest pięknie, tłumaccy Ukraińcy wprost „noszą nas na rękach”. Wożą swoich gości. Każdy dom w Tłumaczu wystawia bankiet, zaprasza po kilka osób, nawet tych nieznanymi. Danusia Tabińska-

Juhasz rozpromieniona. Jurek Czyżycki ociera łązy po kryjomu. Czesia Koczwarą jest w siódmym niebie – ona jest tu znana przez wszystkich. Miała też przyjemność gościć u swojej rodziny 7 osób. Od godz. 16 do 19 na Gonczarówce, a od 19 do 22 na ulicy Kolinieckiej. Rodzina Nusia Johnsońska zawiozła Kazię Żygłowicz do Oтынii skąd przyjechała spłakana, szczęśliwa. Wieczorem nie mogła wycisnąć słowa – tylko „byłam, tam byłam!” Miłą Gierlicką-Góral, która martwiła się, że nie ma nikogo, otaczał wianuszek koleżanek szkolnych. Od ul. Piłsudskiego aż do cerkwi słychać było: Gierlicka, która to Gierlicka? Zygmunt Burczyński z kuzynką Czesi, której rodzina przygarnęła go po powrocie z Niemiec w latach 1945-46, spotkał się na cmentarzu. Serdeczność, z jaką się dogadali, wycisnęła nam wszystkim łązy z oczu. Na ul. Piłsudskiego stoi młode małżeństwo i znowu leci przez ulicę wołanie: Wysoczańscy! Uściski i znów płacz. Na Gonczarówkę z grupą Czesi Kałuzi idzie Zdzich Kłonowski. Zamyślony, spięty, a kiedy sadzają go za stołem, okazuje się, że jest w swoim domu. Miła pani Śniechowska prowadzi go do sadu gdzie poznaje drzewa. Poznaje też podwórko. Czesia prowadzi z Zygmuntem Burczyńskim Józia Laner do jej domu. Idą środkiem największych „kałabani”. Józia błoto wlewa się do pięknych bucików. Czesia przedziera się po parkanach; trudno przejść, od dwóch miesięcy łązy deszcze i stawiska zalane. Dochodzą na podwórko utylani w błocie po kolana. Wchodzą do mieszkania, Józia całuje starą, strasznie wyglądającą kobietę. Wyjaśnia kim jesteśmy. Józia otwiera drzwi do pokoju. Tu stało śliczne pianino – mówi. Tu – ciągnie dalej głosem ścisłym – schowałam się przed żandarmem. Przysiadamy w kuchni na ławce. To nasza ławka – słyszymy słowa Józii. Czy ma błyszczące, nieprzytomne, usta jej drżą. Wchodzimy do drugiej części domu. Tu był sklep – informuje jak w transie. Młode małżeństwo ogląda telewizję, razem z dwójką małych dzieci. Na nasz widok zrywają się. Zapraszają dalej. Nasi wracają jednak do kuzynki Czesi, gdzie czeka na nich poczęstunek.”

Takich i podobnych wzruszających spotkań było każdego dnia bez liku. Każdy z nas „przeżywał” Tłumacz podobnie, wśród „swoich” Ukraińców mieszkających na „naszych włościach”. O atmosferze, jaka panowała w czasie pobytu w Tłumaczu świadczy również wieczór pożegnalny, zorganizowany przez mera miasta w prywatnej restauracji nad stawem. W sprawozdaniu nasze „dziennikarki” tak o tym napisały: „Czwartek od rana szum, ruch, ostatni dzień naszego pobytu. Ostatnie spotkania, zakupy, może już pakowanie. Małe zabiegi kosmetyczne, fryzjer w „Hurtożytku”. Po południu spotkanie nad stawem, godzina 16.00 – właśnie przekazują nam wiadomości, że mer dzwoni po nas. Jedziemy na bankiet pożegnalny. Odświeżeni, eleganccy, panie w wizytowych strojach. Wjeżdżamy nad staw. Mer wita jeszcze raz, stojąc. Dziękuję, że znaleźliśmy czas na ten przyjazd. Radzi żartobliwie, żeby nie kapać się w stawie „bo będą spirytualia”. Danusia dziękuję za wszystko, co zrobił mer dla nas i dla naszych dzieci w tym czasie zbliżania się do Europy. Płyną słowa serdeczne i szczerze. Mer proponuje nalewać i bawić się. Przedstawia jeszcze kierownika, zaznacza, że jest to pierwszy prywatny lokal w okolicy. Przemawia jeszcze Kazio Czerny, mówi po polsku i też ma nadzieję, że granica dla wszystkich będzie otwarta. Podnosimy kieliszki i śpiewamy „Sto lat”. Przy stole siedzi z nami Kłopotowski, dawny kolega Wysoczańskiego. Bankiet trwa. W przerwie zdjęcia, rozmowy, spacer nad stawem, niektórzy symbolicznie moczą nogi, a Helenka Maleszewska z synem

nawet odważyła się i popłynęli na drugą stronę stawu. Znów siadamy do stołu, kelnerki podają obiad – drugie danie. Atmosfera przyjemna. Pan Kłopotowski wznosi toast za „przyjaźń, która nie zna granic”. Rozmowy trwają, tańce i toasty oraz śpiewy ukraińskich dumeck. Pod koniec bankietu wymiana upominków. Merowi miasta wręczono album z dedykacją: „Panu Merowi historycznego miasta Tłumacza, z wielkim podziękowaniem za serdeczną gościnę składają byli mieszkańcy Tłumacza”.

Niemniej miłych przeżyć i niezapomnianych wrażeń dały nam codzienne wycieczki do znanych miejscowości na pięknym Pokuciu. Nasze „wojaże” zaczęliśmy od Stanisławowa. W sprawozdaniu na ten temat tak pisały nasze „dziennikarki”: „Stanisławów liczy dzisiaj 250 tys. mieszkańców, a w roku 1939 miał 60 tys. Minęliśmy otwarty w tym roku kościół na „Majzelach”. Jesteśmy na ulicy Kolejowej. Autobus kołysze się na rozbitej niemiłosiernie drodze, przez samochody i przez ulewne deszcze. Mijamy stare polskie kamieniczki, dworzec kolejowy. Miasto jest czyste, dużo wokół zieleni, balkony obrosnięte dzikim winem. Wjeżdżamy pod wiadukt na Górkę. Cerkiew, tuż obok Kościoła, otwarty przed rokiem. Do kościoła uczęszczają grekokatolicy. „Ojciec Nasz” rozbrzmiewa tu w dwóch językach. Wchodzimy na plac kościelny. Kościół pod wezwaniem Chrystusa Króla otwarty. Danusia Tabińska-Juhasz rozmawiała z księdzem o uratowanych pamiątkach ze zburzonego kościoła w Tłumaczu. Jedną z nich, to duży obraz Św. Anny namalowany na blasze, przechowywany przez wiele lat w stodole u pani Gubrynowicz, oraz obraz Pana Jezusa w cierniowej koronie i kilka figurek z szopki przechowywanych przez prawnuka pani akuszerki Kułkowskiej. Świętości te zobowiązał się przewieźć do kościoła na Górcę siostrzeniec pani Gubrynowicz, Bolesław Petrus – transportem załatwionym przez rodzinę Czezi.

Po wyjściu z kościoła udaliśmy się na dalsze zwiedzanie Stanisławowa. Przed nami szkoła buchalteryjna, na prawo rynek w budowie, z lewej targ i pałac Potockich, a na wprost ratusz. Kiedy zatrzymaliśmy się przy ul. Kołchozowej i Szeremety, zobaczyliśmy ponad dachami domów złote wieże kościoła Ormian i ratusz muzeum. Weszliśmy do kościoła – wewnątrz kolorowe, w ołtarzu – Matka Boska z dziećmi; z księdzem, który podszedł zainteresowany naszą liczną grupą, odbyliśmy krótką rozmowę na temat odbudowy tego kościoła, ufundowanego przez kasztelanek Annę Potocką-Kossakowską. U zbiegu ulic Stracenych i Mickiewicza minęliśmy szary budynek Synagogi. Potem zatrzymaliśmy się w parku Mickiewicza, przed pomnikiem wieszczki, otoczonym kamiennymi słupkami, otoczony dywanem kwiatów. Panowie robili zdjęcia i filmowali. Przed gmachem „Teatru Starego” w programie zapowiedź sztuki „Muza niet”.

Rozchodzimy się, czas wolny. Jedni do banku, drudzy na lody. Czesia, nasza „dziennikarka”, spotkała Polaka, który poinformował ją, że pod pomnikiem Mickiewicza znajduje się kapsuła z zapisaną historią pomnika, a planty stanowią środek Stanisławowa, ponieważ właściciel miasta, Potocki, wyznaczył dość regularny krąg miasta.

W następnym dniu zwiedziliśmy kilka miejscowości: Tyśmienicę, Nadworną, Delatyn, Jaremcze i Worochtę. Od naszych przewodniczek, pani dr Danuty Nespiak i Krystyny Karbownik dowiedzieliśmy się, że Dolinę Huculską zamieszkuje dziś wiele grup narodowościowych – Wołosi, Rumuni, Węgrzy, Ukraińcy i Ormianie. Nie miały wpływu na tutejsze życie mieli także podkarpaccy Żydzi. Słuchaliśmy

opowieści o miejscowych zwyczajach, zachowanych tradycjach i potrawach z mieszanymi uczuciami. Pamiętaliśmy, że przed wojną okolice te były określane jako świat bajkowych budowli, pięknej ceramiki, tkactwa, świat kolorowych haftów i wyszywanek. Dzisiaj to raczej biedne podgórskie wioski, w których właściciel kilku kóz i jednej krowy jest bogaczem. Na suchych łąkach pasie się nieliczne bydło rogate, na polach pełno chwastów. Domki są jednak schludnie utrzymane. Wszędzie widać kaplice i cerkwie w budowie, ale też w każdej prawie miejscowości dużo mogił „Siczy” – pomników na cześć UPA. Pogodny nastrój przywróciło nam tego dnia zwiedzanie znanych przedwojennych polskich kurortów: Jaremczy i Worochty. Dotarliśmy także do przełęczy Jabłonowskiej, gdzie Gen. Maczek przechodził ze swoim wojskiem na Węgry.

W kolejnym, już przedostatnim, dniu pobytu w Tłumaczu, udaliśmy się do Kołomyi, Kosowa i Kut. Kołomyja to największe miasto na Pokuciu, gdzie znajdował się największy węzeł komunikacyjny Małopolski Południowo-Wschodniej. Odbywały się tu słynne targi i jarmarki. Kołomyja przed wojną była także dość znaczącym ośrodkiem kulturalnym i oświatowym i siedzibą dużego garnizonu wojskowego – 49 Pułku Strzelców Huculskich i 11 Konnego Pułku Artylerii Lekkiej. Obydwie te jednostki bohatersko walczyły w 1939 roku. Obecnie Kołomyja, dość zadbane miasto, poza ratuszem i czynnym od niedawna kościołem oraz cerkwią nie ma innych zabytków.

Kosów to przedwojenny ośrodek garbarsko-tkacki, skąd pochodzą tak zwane „liźniki”. Dziś jest to dość czysta, mała miejscina, gdzie kupiliśmy pamiątki, właśnie owe słynne narzuty włochate – „liźniki”.

Ostatnią historyczną zwiedzaną przez nas miejscowością były Kuty, nazywane kiedyś rzeczpospolitą ormiańską, gdyż 3/4 jej mieszkańców stanowili Ormianie. W Kutach byliśmy blisko mostu na Czeremoszu, przez który w 1939 roku nasz Rząd emigrował się do Rumunii.

Po powrocie do Tłumacza nastąpiły ostatnie pożegnania z jego nowopoznanymi mieszkańcami i przygotowania do wyjazdu. Wracaliśmy pełni wrażeń i niezapomnianych przeżyć, co pięknie wyraziła Roma Króliczek w swoim liście: „Pierwsze moje słowa niewypowiedzianej wdzięczności kieruję do organizatorów tej wycieczki, słowa szczerze, graniczące z uwielbieniem za to, że mogłam oczami dorosłej osoby ujrzeć raz jeszcze ziemię rodzinną. W najwspanialszych marzeniach nie przypuszczałam, że będę mogła tam wrócić jako turystka. Niezbądane są wyroki boskie. Wróciłam do najwcześniejszych lat dziecińczych, tragicznych lat wojennych, skąpanych w morzu niewinnie przelanej krwi. Trzeba przebaczyć – to jedno z najważniejszych zasad chrześcijaństwa, zapomnieć jednak nie można tego, co utrwaliło się w oczach przerażonego dziecka. Minęło pół wieku, z przerażonej, ogarniętej panicznym strachem dziewczynki, wyrosła dorosła kobieta, dręczona okrutną tęsknotą na ujrzaniem ojczystej ziemi.”

Kazimiera Żygłowicz-Kuguł swoją opinię o wycieczce wyraziła w następujących strofach:

*I chociaż trasa była daleka,
A czas tak wszystkim szybko uciekał
I ciągle go było jakoś za mało,
To jednak wiele wspomnień zostało.
Ukłon serdeczny, słowa wdzięczności
Dla organizatorów jeszcze raz.*

P. S. Wycieczkę na taśmie video utrwalił Sławek Zabojski.

Sagi rodzinne

Helena Bilińska

Danuta Tabińska-Juhasz

W jedną z ostatnich, jesiennych niedziel byliśmy zaproszeni (obie autorki i Jerzy Czyżycki) do gościnnego domu Państwa Heleny i Bogdana Bilińskich w podwrocławskim Gądowie. Na spotkaniu tym był również Ich sąsiad p. Michał Dwojak, który opowiedział nam dużo ciekawych wydarzeń z okresu ostatniej wojny, a dotyczących okolic Tłumacza.



Michał Dwojak

Urodził się On we wsi Boskie pow. Tłumacz, parafia Okniane w roku 1919, jako syn Feliksa i Anny. Pamięta jak jeszcze przed wojną jego dziadek opowiadał o swoim dziadku, który brał udział w przenoszeniu tłumackiego kościoła do Oknian. Woził koźmi deski, słupy i całą konstrukcję drewnianą z rozbieranego kościoła w Tłumaczu. W miejscu bliżej do miasta wybudowano kościół murowany z cegły z rozbieranej cukrowni. Zrekonstruowany zaś kościół w Oknianach został oddany do użytku w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Według rodzinnego przekazu na pamiątkę dzielnego prapradziadka kościół ten był pod wezwaniem św. Bartłomieja, to jest imienia, które on nosił. P. Michał pokazuje nam teraźniejsze zdjęcia kościoła w Oknianach, obrazujące ogrom zniszczenia. W Oknianach jest tylko cerkiew prawosławna, a greko-katolicy

chodzą do swojej cerkwi do Popielowa. Nie ma więc nadziei na zainteresowanie się starym drewnianym kościołem. Dach kościoła podobno dotychczas nie przecieka, pociesza się p. Dwojak, taka kiedyś była dobra drewniana konstrukcja dachu i 150-letnia na nim blacha. Wg książki Tadeusza Spissa pt. „*Wykaz drewnianych kościołów i cerkwi w Galicji*”, Lwów 1912 figuruje w powiecie Tłumacz, Okniane kościół drewniany z roku 1612 – rozumiemy, że ta data dotyczy budowy kościoła w Tłumaczu, który został następnie przeniesiony do Oknian. Pan Michał z rozzerwieniem mówi, że był w tym kościele ochrzczony, a w roku 1938 wziął ślub z Katarzyną, też Dwojak z Oknian. Po wypędzeniu z rodzinnej ziemi osiedlił się w Gądowie z żoną i córeczką Janiną, za namową Feliksa Bilińskiego z Tłumacza, który tu pierwszy osiadł w 1945 roku. W Gądowie urodziły się jeszcze dwie córki Krystyna i Danuta, a następnie przychodziły na świat wnuki. Doczekał się nawet prawnuka, który ożeniony ze Ślązacczą nieszką w Niemczech, teraz p. Michał oczekuje praprawnuka.

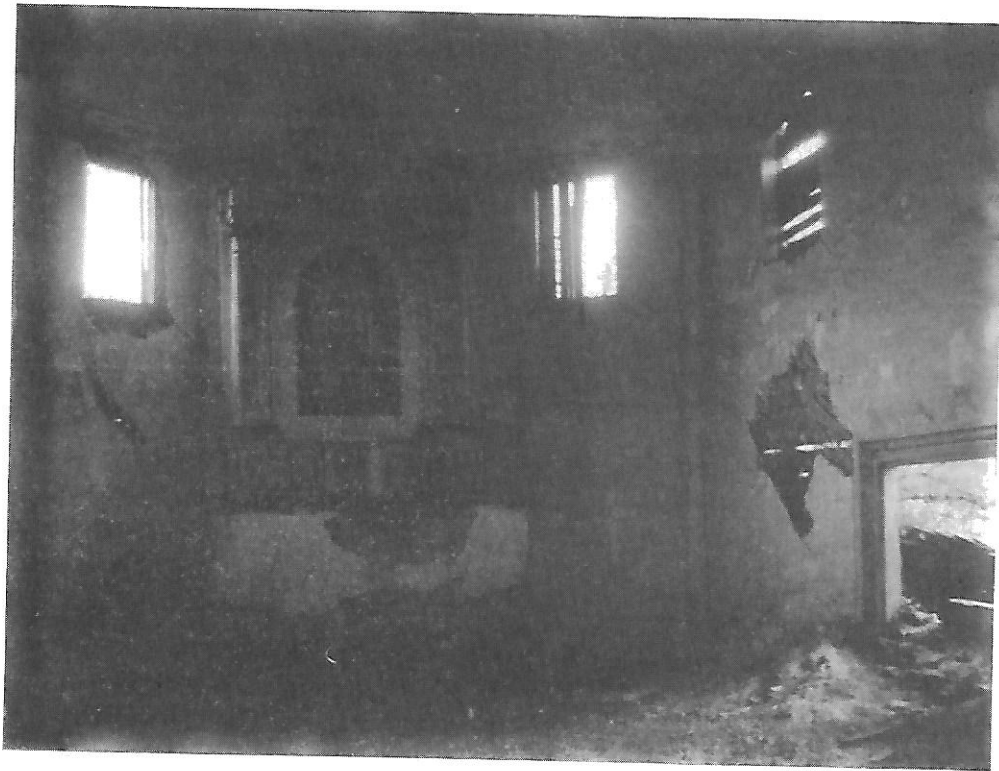
Dalsze wiadomości od p. Michała dotyczą stosunków polsko-ukraińskich. Wspomina On, że już w roku 1939, pierwszymi ofiarami nacjonalistów ukraińskich byli cofający się polscy żołnierze np. w Bratyszowie zginęło z ich rąk aż 182 żołnierzy, a w Markowcach za Tyśmienicą zamknęli w stodole cały oddział. Na szczęście do podpalenia nie doszło, gdyż w pobliżu była, również uciekająca ze Stanisławowa policja konna, która żołnierzy wyswoodziła.

Rodzinna wieś Dwojaków była malowniczo położona, wśród lasów, między Łokutkami, a Oknianami po drodze na Odaje nad Dniestrem. Zamieszkiwało w niej 69 rodzin polskich i tylko 14 ukraińskich. Wszyscy dobrze się znali. Jednak już po zakończeniu wojny do zagrody ojca przyszli banderowcy z Oknian. Zabrali konie, całą żywność i kazali opuścić wieś. Wtedy to rodzina Dwojaków przeniosła się do Tłumacza, gdzie za-



Fot. Jan Zakowicz

Kościół św. Bartłomieja w Oknianach przeniesiony z Tłumacza (wg stanu z 1998 r.)



Fot. Jan Zakowicz

Wnętrze zniszczonego kościoła w Oknianach pw. św. Bartłomieja. (stan z 1998 r.)

mieszkała u p. Osowskich obok Sokoła, a następnie wyjechała na Zachód.

W okresie okupacji niemieckiej rodzina Dwojaków z narażeniem życia pomagała tłumackim Żydom. W książce wydanej w 1970 r. w Izraelu pt. „*Sprawiedliwi prawi, nie Żydzi*” Shlomo Blonda, której wyjątki drukowaliśmy przez 3 lata w naszych Zeszytach, w numerze 2/1996 jest wspomnienie o rodzinie Dwojaków jako tych, którzy przyczynili się do uratowania 8 Żydów. Pan Michał pamięta, że w lesie rozciągającym się od Ganczarowki na przestrzeni 4 km² były okopy z I Wojny Światowej. Gajowy Kazimierz Dwojak wraz z ojcem p. Michałem, Feliksem, pomagali tam zrobić schron dla 8 osób. Byli to dobrze im znani Żydzi (posiadali w Tłumaczu hurtownie zboża) Mosze Flescher, brat Abraham i 2 siostry Zisser, Michał Somerfreind, Feuer, Knipf. Dzięki rodzinie Dwojaków przeżyli oni w tym schronie najgorszy okres, lata 1943 i 1944. Przez cały ten czas najstarsi synowie Dwojaków donosili jedzenie do schronu. Bywało też, że pod osłoną nocy Żydzi przychodzili do domu Dwojaków żeby zjeść i umyć się. Kazimierz Dwojak przestrzegł ich przed planowaną przez Gestapo i Ukraińców obławą na Żydów w lesie. Zdażyli zmienić miejsce pobytu i uniknęli pewnej śmierci. Po dwóch dniach przyszli w nocy do Dwojaka wszyscy z wysoką temperaturą, bo zaczęły się jesienne deszcze. Trzeba było ich nie tylko żywić, ale i leczyć.

W marcu 1944 roku Armia Czerwona przerwała front i zbliżyła się do lasu, Żydzi musieli uciekać i schować się w opuszczonych przed frontem domach. Po wyzwoleniu zgłosili się do swoich wybawców Dwojaków, bardzo im dziękowali i pożegnali się wyjeżdżając do Czerniowiec.

Po wojnie odnaleźli Kazimierza Dwojaka na Zachodzie, a po jego śmierci ufundowali mu pomnik nagrobny.

Nasze spotkanie u państwa Bilińskich w Gądowie zainicjował Ich syn Adam. On właśnie nas odszukał!

Adam to 17-letni uczeń Liceum Ekonomicznego w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych w Krzyżowicach. Jest prawnukiem znanego tłumackiego gospodarza Feliksa Bilińskiego z ul. Plebańskiej. Wnukiem zaś Mariana Bilińskiego, który po wojennej tułaczce z Niemiec, Włoch, a dalej z Anglii, powrócił do rodziców, którzy już osiedlili się w Gądowie. Zainteresowanie Adama dziejami miasta Tłumacza i genealogią rodziny Bilińskich zaczęło się od wypracowania szkolnego na temat korzeni rodzin poszczególnych uczniów. Od tego czasu zaczął poświęcać swój wolny czas na szperaniu po szafach i zakamarkach domu w poszukiwaniu zapomnianych, starych dokumentów. W wyniku tych poszukiwań odnalazł szereg pożółkłych i nadgryzionych już zębem czasu materiałów pochodzących z początku tego wieku. Są to kontrakty kupna i sprzedaży gruntu, umowy majątkowe (zwane w tamtych czasach punktacją), podanie o pożyczkę skierowane do „Wysokiego CK Namiestnictwa”, przepisy kulinarne, zdjęcia i szereg innych. Część dokumentów sporządzona była w kancelarii adwokackiej dra J. Makucha w Tłumaczu, na innym istniał podpis Magdaleny z Kozubowskich Dolaisowej, właścicielki dóbr w Tłumaczu. Poza

tym Adam nawiązał kontakty z bliższą i dalszą rodziną rozsianą po całej Polsce, oraz z różnymi instytucjami prosząc o nadsyłanie materiałów dotyczących rodu Bilińskich. Wierzy, że uda mu się odtworzyć historię jego rodziny. Na zakończenie miłego spotkania życzył Adamowi, żeby jego kiwania zostały uwieńczone pożądanym rezultatem



Adam Biliński

Poniżej przedstawiamy fragment orginalnej „Punktacyj” i jej tłumaczenie, z zachowaną pisownią.

Redakcja

Punktacyjje

które między Maryą z Bilińskich Putzlacherową, Feliksem Bilińskim i Joanną Bilińską imieniem własnem oraz niel. Józefa Bilińskiego na dniu dzisiejszym w następujący sposób zawarte zostały. Marya z Bilińskich Putzlacherowa zrzeka się swoich wszystkich praw spadkowych do spadku po śp. Leonie Bilińskim zmarłym dnia 26 grudnia 1909 – na rzecz swoich braci t.j. Feliksa i Józefa Bilińskich, – w zamian za co Feliks Biliński ma się zrzec na moje imię dom i połowę ogrodu zapisane aktem notarialnym przez Joannę Bilińską w roku 1909, – za tem cała realność pozostała po śp. Leonie Bilińskim ma być na rzecz Feliksa i Józefa Bilińskich po połowie zainstalowana.

Feliks i Józef Bilińscy przyjmują na siebie w ogóle wszelkie długi, które są zainstalowane, jakoteż i te które nie są zainstalowane wcale na pozostałej po śp. Leonie

Bilińskim i wogóle winni są takie przenośna, jakoteż kosztą pogrzebu z własnych funduszów ponieść i opłacić.

Joanna Bilińska wdowa po śp. Leonie Bilińskim, zrzeka się swego prawa dożywotniego użytkowania 1/4 części pozostałej realności na imię swych synów tj. pełnoletniego Feliksa i niel. Józefa Bilińskiego, w zamian za co Feliks Biliński i Józef Biliński zezwalają by za to zrzeczenie się 1/4 części dożywocia zainstalowaną została Joanna Bilińska za właścicielkę niwy na białkach... o objętości 3/4 morga w granicach na wschód od *Dmytra Kłopotowskiego* (?) *Antoniego Kłonowskiego* (?), na zachód „*Iwana Przysiężniuka*” (?), a na północ łąki dworskiej, na południe przecina droga gminna i mały, –

Joanna Bilińska wdowa po śp. Leonie ma zabrać sobie z pozostałych ruchomości po śp. Leonie Bilińskim następujące rzeczy ruchome a to: krowę, kozę, prosię, szafę, stół, komodę, łóżko, kufer, sofę, szafarnię, beczkę, krzesła, ławki, obrazy, jakoteż połowę prosiąt jakie mają się urodzić jeszcze.

– Ważność niniejszych punktacyi zawisłą będzie od zatwierdzenia, gdy Sąd jako władza nadopiekuńcza zatwierdzi ten dobrowolny dział między stronami zdziałany. –

Punktacyjje

które między Maryą z Bilińskich Putzlacherową, Feliksem Bilińskim i Joanną Bilińską imieniem własnem oraz niel. Józefa Bilińskiego na dniu dzisiejszym w następujący sposób zawarte zostały.

Maryja Bilińska Putzlacherowa zrzeka się swoich wszystkich praw spadkowych do spadku po śp. Leonie Bilińskim zmarłym dnia 26 grudnia 1909. – na rzecz swoich braci t.j. Feliksa i Józefa Bilińskich, – w zamian za co Feliks Biliński ma się zrzec na moje imię dom i połowę ogrodu zapisane aktem notaryalnym przez Joannę Bilińską w roku 1909, – za tem cała realność pozostała po śp. Leonie Bilińskim ma być na rzecz Feliksa i Józefa Bilińskich po połowie zainstalowana.

Feliks i Józef Bilińscy przyjmują na siebie w ogóle wszelkie długi które są zainstalowane, jakoteż i te długi które nie są zainstalowane wcale na pozostałej po śp. Leonie Bilińskim, i wogóle winni są także pogrzeb, jakoteż kosztą pogrzebu z własnych funduszów ponieść i opłacić.

Joanna Bilińska wdowa po śp. Leonie Bilińskim, zrzeka się swego prawa dożywotniego użytkowania 1/4 części pozostałej realności na imię swych synów tj. pełnoletniego Feliksa i niel. Józefa Bilińskiego, w zamian za co Feliks Biliński i Józef Biliński zezwalają by za to zrzeczenie się 1/4 części

24. 1909

Informacje

Sześćdziesiąta rocznica

W dniu 21 września 1999 r. na Zamku Królewskim w Warszawie odbył się koncert muzyki polskiej. Zorganizowała go Federacja Organizacji Kresowych upamiętniając tragiczną 60-tą rocznicę (17 września 1939) napadci na Polskę Związku Radzieckiego. Nasz Oddział reprezentowały dwie tłumaczanki Danuta Tabińska-Juhasz i Rysia Dębiec-Kaspe-
rowicz z dwiema córkami.

*Na zdjęciu: Od lewej Anna Chruślińska
Teresa Jurga
i Danuta Tabińska-Juhasz*

Fot. Cz. Domańska



Zawiadamiamy Członków i Sympatyków Oddziału Tłumaczan, że zgodnie z przyjętym zwyczajem Zarząd Oddziału organizuje spotkanie OPLATKOWE. Odbędzie się ono w dniu 15 stycznia (sobota) 2000 roku o godz. 13.00 w siedzibie Zarządu Głównego TMLiKPW we Wrocławiu, ul. Ruska 32/33, na które serdecznie zapraszamy.

Zarząd

Od kilku lat na cmentarzach całego kraju w dniu Wszystkich Świętych Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich kwestuje na rzecz odbudowy cmentarza Orląt Lwowskich i Łyczakowskiego we Lwowie. W tym roku do tej akcji włączył się Oddział Tłumaczan, a w kwestie udział wzięli: ADAM BILIŃSKI, ANNA PANACHIDA-BOCHEŃSKA, DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ.

Bardzo Im dziękujemy za obywatelską postawę.

Zarząd

Uzupełnienia

Jerzy Czyżycki

W numerze 3/15 w artykule „Tegoroczne spotkania tłumaczan” str. 23 niezupełnie ściśle opisano rozbudowę kościółka w Siedlakowicach. Żeby być w zgodzie z prawdą, pozwałam sobie na niniejsze uzupełnienie. Faktycznie po perypetiach w początkowych latach 50-tych, rozbudowano kaplicę. Jednak jej obecny wystrój, to już jakby druga faza kończąca tamtą rozbudowę.

Klub Tłumaczan podjął się renowacji swojego obrazu św. Anny Samotrzeciej. Finał tego przedsięwzięcia nastąpił w 1994 roku. Mająca się odbyć uroczystość Jego powtórnego poświęcenia po renowacji, z udziałem J. Em. Ks. Henryka Kardynała Gulbinowicza, zmobilizowała tę małą społeczność związaną z filialnym kościółkiem w Siedlakowicach, przynależnym do Parafii w Zachowicach. Postanowiono i wykonano prace tynkarskie, malowanie, położono bo-

azerie, sprawiono nowy konfesjonał, dywan, uzupełniono i naprawiono mur otaczający posesję, wykonano szereg prac związanych z wystrojem wnętrza kościółka. Dotychczasowy prowizoryczny ołtarz został zastąpiony nowym, wykonanym z drzew gruszy i dębu, który zaprojektował Krzysztof Kłapkowski. Wspomnieć należy, że drzewo ofiarował Tadeusz Tarnopolski z Gniechowic, przyjaciel rodziny Kłapkowskich, niczym nie związany ze społecznością tłumacką i siedlakowicką. W dalszych pracach związanych z budową ołtarza udział wzięli: Józef Kłapkowski, Roman Mazurek, Zbigniew Mucha. Wystrój wnętrza to dzieło: Heleny Baran, Leokadii Bronowickiej, Heleny Jabłońskiej, Zofii Oblińskiej. Tłumaczanie związani z kościółkiem w Siedlakowicach poprzez obraz św. Anny wyrażają w/w osobom swoją wdzięczność

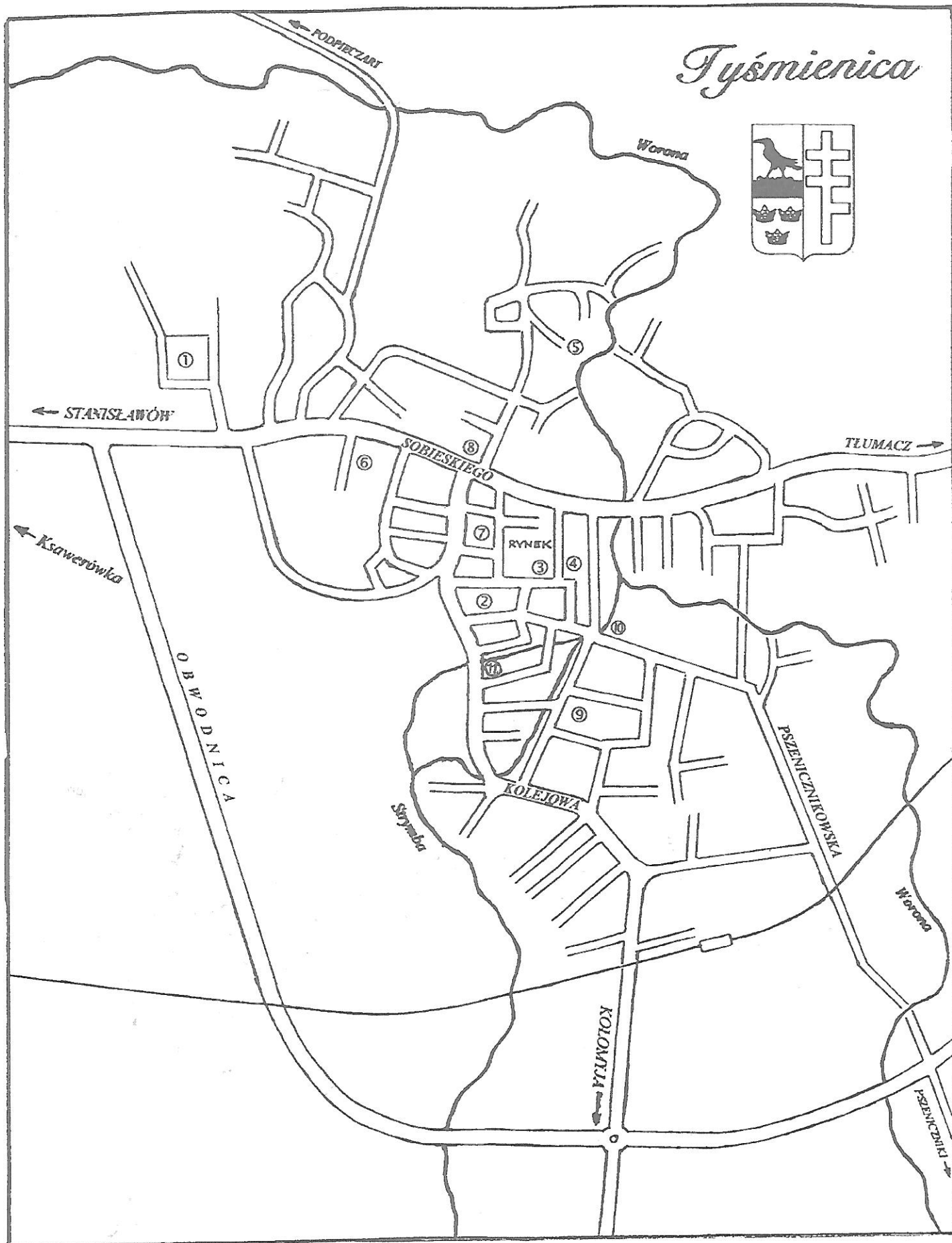
Lista ofiarodawców w IV kwartale 1999

Józef Burczyński, Kamienna Góra	4,00 zł
Bronisław Szmyd, Kamienna Góra	4,00 zł
Stefania Piotrowska	50,00 zł
Zygmunt Bomowski, Kraków	66,00 zł
Jan Bielański, Wrocław	50,00 zł
Stanisława Korybska, Gliwice	16,00 zł
Henryk Lisowski, Anglia	200,00 zł
Jan Stimm, Francja	100,00 fran.

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Errata

	jest	ma być
ZT 2 (14) 1999 r. – s.12 wiersz	sutyrynach	suterenach
ZT 2 (14) 1999 r. – s.27 wiersz	p. Jezusa	Pana Jezusa
ZT 3 (15) 1999 r. – s.10 wiersz	Na przecinku	Naprzeciwko



1. Cmentarz 2. Kościół św. Mikołaja 3. Kościół ormiański św. Kajetana 4. Cerkiew św. Mikołaja 5. Cerkiew Monasterska 6. Cerkiew Kokora 7. Synagoga 8. Dom Ludowy („Sokół”) 9. Fabryka 10-11. Młyny